CENA ZŁ 20

Biedrawina — Brzoza — Hierowski — Natanson — Worcell

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW KATOWICE

NUMER 36 (198) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 25 WRZEŚNIA 1949 ROKU ROK V

SOPOT
ul. Czerwonej Armii 101
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

WACŁAW RZEZACZ

Pierwszy dzień

Jan Teska przybył do Potocznej na schyłku lata 1945 roku. Niemcy nazywali to miejsce Grünbach czy jakoś podobnie, ale kto by tam sobie na to pamięć wysilał i język łamał. Potoczna to dobra nazwa, pyszni się w starych dokumentach i znaleźć ją można w wielu aktach jeszcze z początku dziewiętnastego wieku. To dobra i szeroka nazwa tak jak dobra jest i szeroka dolina, w której rozłożyło się miasto. Zachodnie stoki pokrywa świerkowy las, na wschodnich falują po pas wysokie trawy hodowlanych pastwisk. Ku południowi otwiera się jak spragnione ramiona dziewczyny, ku północy zwęża się i przechodzi w górski stok, za którym ciągną się aż do granicy kamieniste, wilgotne i ciemne lasy. miasto nazywa się Potoczna, więc jakże inaczej mogłaby się nazywać rzeczka? Płynie sobie, ni to potok, ni to rzeka, w stronę niewidzialnej równiny czyściutka jak krzyształ, raz zielona, raz znowu błękitna jakby się w niej na przemian niebo rozpuszczało i trawa.

W miejscu gdzie dolina ukształtowała się w płaską nieckę, rozłożyło się miasto. Fabryka tekstylna, w której wyrabiano adamaszki i cienkie płótna, fabryka pił i druga maszyn piekarskich, kilka dobrze urządzonych warsztatów rzemieślniczych, hotel dla letników, liczne sklepy, wszystko to razem stanowiło źródła dobrobytu i twierdze dawnej potęgi. Ładne miasteczko i czyste. Możnaby sądzić, że mieszkańców jego od wielu pokoleń cechował spokój i trudno uwierzyć, że pierwsza czwórka osiedleńców była tu przez dwa dni oblęgana w opuszczonej willi właściciela fabryki tekstylnej i otrzeliwana z karabinów maszynowych.

Jan Teska rozglądał się po mieście. Szosa była asfaltowa, ale chodniki wybrukowane były drobną kostką. Być może, że była w tym jakaś obietnica na daleką przyszłość, ale na teraz nie obiecywało to niczego. Teska był brukarzem. Wiek lat dwadzieścia siedem, wzrost 185 cm, waga 92 kg, kark spalony na brąz, kasztanowate włosy wypłowiałe od słońca aż do jasnych odcieni, ciężkie ręce, bezradne w chwilach bezczynności, myśl powolna, ale docierająca zawsze do końca rozwijanego wątku. Z pracy przy kamieniu rosną kamienni ludzie. Taki był Jan Teska. Tylko zesztywniałe od wiecznego klęczenia kolana zginały mu się z trudem.

W komisji zarządu miejskiego siedział człowiek o zaczerwienionej twarzy i śnieżno białych włosach. Policzki jego błyszczały i spod gładkiej cery tryskały młodością, ale w siwych oczach krył się cień zmęczenia z dziesiątków nieprzespanych nocy. Nazywał się Bagar. Antoni Bagar. Rozparł się mocno na biurku, a w lewej klapie wygniecionej marynarki czerwieniła mu się mała, ledwo dostrzegalna pięcioramienna gwiazda.

Odsunął się od biurka, a rozjeżdżający się fotel biurowy groźnie zaskrzypiał.

— Więc jesteście brukarz — odezwał się suchym, przytłumionym trochę głosem — ale my tu nie mamy żadnej firmy brukarskiej.

— A kto mówił, że macie? — odparł Teska powoli, przeciągając pytanie.

— Jakiś papier polecający przywieźliście ze sobą? Może byśmy wam dali zarząd jakiegoś zakładu jubilerskiego, fabryki zabawek albo chociaż sklepu kolonialnego?

— A więc to jest tutaj wymagane? — zasępił się Teska. — Ale ja nie chcę fabryki ani żadnego kramu. Nie znam się na tym.

Oczy Bagara ożywiły się i pojaśniały obudzonym zainteresowaniem.

— To nie jest tutaj wymagane, ale wszyscy tu z czymś takim przyjeżdżają. Można by rzec, że w Pradze są tłumy ludzi, którzy Potocznej w życiu na oczy nie widzieli, ale znają tu każdy gwóźdź. Komiwojażerował taki jeden z drugim z cykorią, a tu chciałby kierować choćby nawet fabryką zegarków.

Bagar poweselał i rozłożył szeroko ramiona jakby wzywał na świadka otaczające go cztery ściany a za nimi cały świat.

— A to ci okaz! Nie ma listów polecających i nie chce sklepu, bo się na tym nie zna. Chybaście tu pracować nie przyjechali?

Jan Teska nachmurzył się i przyjrzał się swoim szerokim, spoczywającym na kolanach dłoniom. Potem spojrzał na Bagara wciąż spod nastroszonych brwi, które jego poczciwej twarzy nadawały śmieszny wyraz i spytał:

— Wyście komunista?

— Tak — odparł Bagar. — Może wam to przeszkadza?

— Cóż by mi miało przeszkadzać? — odrzekł Teska. — Przed wojną też byłem w partii, ale teraz u nas jeszcze nie wznowili organizacji.

Spojrzenie Bagara zrobiło się chłodne, a on sam nabrał obcości.

— Nie mówię tego po to, że jako komunista nie powinniście się wyśmiewać z człowieka pracy.

Bagar poczerwieniał jak płomień i powstał tak gwałownie, że fotel odskoczył i uderzył o ścianę.

— Poczekajcie no, towarzyszu, nie bądźcie taki nagły! — powiedział tak szybko aż się zasapał. — Jak też mogło wam przyjść do głowy, że się z was wyśmiewam? Czy już tak gadam, że mnie swoi ludzie nie rozumieją? To jest z tego, że całymi dniami mam do czynienia z łobuzami, co by tu tylko nagrabić chcieli i zniknąć.

Wyszli razem na ulicę bliscy sobie nagle i ufni jakby jeden przed drugim naraz serce otworzył i jakby wiedzieli już o sobie wszystko aż do dna. Byli niemal na centymetr równego wzrostu i spojrzenia ich spotykały się na równej wysokości. To jeszcze bardziej ich zbliżało. Bagar pragnął dowiedzieć się, dlaczego Teska upatrzył sobie właśnie Potoczną. Ale Teska nie jechał prosto do Potocznej. Początkowo wybierał się do Kadani, o której zasłyszał coś w tramwaju. Chciał wreszcie mieszkać jak człowiek, od urodzenia bowiem mieszkał jak zwierzę. Matka, żona, dwuletnia córka i on sam gnietli się we czworo w jednej norze. Była to izba dla dożywotników w jednej z chałup w Podbabach. Pod tym północnym zboczem, jeżeli znacie te strony. W jednym kącie od jesieni do wiosny ściekała po ścianie wilgoć. Bywało, że czasem w tym miejscu zgarnęli ze ściany i łopatkę pleśni. Mała dostała z tego wodnistych bąbli. Wyskakiwały jej na ciałku takie pęcherze jak stare pięciokoronówki. Wyglądała, biedactwo, jak ziemniaczany placek.

Teska mówił urywanie, dobywał ze siebie z trudem strzępy zdań. Chwilami pomagał sobie obydwiema rękami, prawą od góry jakby przybijał ciężkim młotkiem, lewą od dołu jakby podgarniał piasek pod kostkę w bruku. Bagar patrzył uparcie przed siebie i kręcił guzik przy marynarce.

— Co tam mieszkanie — powiedział — mieszkanie ci już jakieś znajdziemy. Na początek nie będzie to żaden luksus, te najlepsze już rozdrapali, ale wysiedlanie Niemców dopiero się zacznie, to sobie potem na lepsze zmienisz. Ale musisz z czegoś żyć. Jest tutaj zakład kamieniarski, ale tak mi to wygląda, że zawsze ledwo wegetował. Albo zaczekaj, jeden tu osełki wyrabiał i drapnął do Reichu. Zostało trzech Niemców, co u niego pracowali. Nie chciałbyś tego?

Suchy głos Bagara nabrał ciepła i brzmiał nalegająco:

— Nie kręć głową, człowieku. Musimy się wszystkiego nauczyć i robić wszystko. Trzy miliony ich od nas wyleci. To już jest dziura, której się byle czym zatkać nie da. Szkoda, że nie jesteś tkaczem. Mamy tu fabrykę tekstylną, palce lizać! Dalibyśmy ci któryś z tych oto domków. Trzymamy je jako przynętę na czeskich tkaczy, ale żegnaliśmy ich tutaj zaledwie pięciu. No więc tej wytwórni osełek nie chcesz?

Dolina w tym miejscu zaczęła się zwężać, ale wciąż jeszcze była na tyle szeroka, by pomieścić w sobie rzeczkę, szosę i dwa szeregi domków po jej bokach. Potoczna śpiewała tu hałaśliwą pieśń na zaporze śluzy, przez kórą spadała w głębokie koryto jazu. Trzypiętrowa biała fabryka tekstylna dumnie spoglądała na stado parterowych budynków pomocniczych. Droga skręcała w górę, powietrze nabrało ostrości i stało się bardziej przezroczyste. Rytmiczny powiew podnosił się i opadał, przychodził z gardzieli doliny, z potężnych płuc górskiej przełęczy.

Teska westchnął głęboko, wstrząsnął się, krótkim dreszczem, przełknął ślinę, która nagle nagromadziła mu się w ustach i odpowiedział:

— Nie chcę żadnego warsztatu. To nie dla mnie. Nigdy bym nie potrafił ludzi do roboty popędzać. Chciałbym gospodarować.

— No widzisz, nareszcie coś konkretnego — ucieszył się Bagar. — Teraz, chłopie, dogadamy się szybko. Jeżeli naturalnie nie stracisz ochoty, gdy to zobaczysz. Tutaj gospodarka to ciężki kawałek chleba. Trzeba było widzieć, ilu ludzi już to tutaj oglądało. Popatrzyli, pokręcili nosem i znikali. Ziemniaki, rzadkie żyto, owies pod psem, a czego innego ci tu ziemia nie urodzi. Ale za to trawa! Te łąki! Lepszych nigdzie nie znajdziesz. Chodź, sam zobaczysz. A ty się w ogóle na gospodarce znasz?

Bagar narzucał tempo marszu długimi krokami, do których kolana Teski z trudem się dostosowywały. Szosa wznosiła się coraz ostrzej, dolina zwężała się. Potoczna przysunęła się blisko drogi, domki poznikały. Tak, Teska znał się na gospodarstwie. Od maleńkości pomagał z matką u gospodarza. Potrafił obchodzić się z kosą, wydoić krowę, pomóc jej przy cieleniu się, umiał dość, by dać sobie z tym radę.

— No to masz! — powiedział nagle Bagar, zatrzymał się i rozłożył ręce jakby rozsuwał zasłonę przed zakrytym dotąd obrazem.

Przed nimi wznosił się długi, ciągnący się daleko, łagodnie nachylony południowy stok doliny. Białe chaty pod ciemno szarymi krytymi łupkiem dachami leżały na nim rozsypane i błyszczały w słońcu na gęstym futrze zieleni. Teska westchnął głęboko i potarł swędzący go nos. Bagar obrzucił go szybkim spojrzeniem z boku i zaczął mówić:

— To tam w dole, widzisz? Ten dom z trzema świerkami. Sam miałbym tam ochotę zamieszkać, ale dla mnie inne sprawy tu obmyślili. Właściciel zniknął, gdy tylko pojawili się Rosjanie. Na parterze są trzy wielkie izby, a na poddaszu jedna albo dwie. Ale co ci tu będę opowiadał, chodź obejrzeć.

Od drogi wiła się w wysokiej trawie ścieżka wprost do domu. Teska postępował za szybko kroczącym Bagarem i walczył z podejrzeniami. Jak się tu na tym siwym diable wyznać? Głowę ci ma jak sztandar — gębę czerwoną a włosy białe. Naprzód wyglądał jakby mnie chciał zeżreć, a teraz gęba mu chodzi jak pyskaczowi. Czy w tej całej zupie jakiś włos czasem nie pływa? A co tam! Włos czy nie włos, nawet gdyby i karaluch pływał, smaku mi to nie odbierze i nikomu się stąd wykurzyć nie dam.

Za spowitymi w pajęczyny oknami stały doniczki. Sterczały z nich zwiędłe muszkaty, rezeda i cebula morska. Teska przypomniał sobie matkę i coś ścisnęło go za gardło. Daj spokój, wariacie, nie roztkliwiaj się. Kwiatki pielęgnowali, ale sumienie nie pozwoliło im zostać. Mieli kwiatki, kanarki, synogarliczki, a kapustę popiołem ludzkim nawozili. Ale to muszę powyrzucać,matkę by to straszyło. Ona przywiezie tu swoje doniczki i okna znów rozkwitną.

Do drzwi domu wiodły trzy szerokie kamienne schody. Bagar wyłowił z kieszeni pęk kluczy i próbował jeden po drugim. Mruczał przy tym pod nosem na niedołęgę referenta mieszkaniowego, który nie wpadł na pomysł, żeby je pooznaczać. Wreszcie zamek zazgrzytał i z otwartych drzwi buchnęło stęchłe, nieświeże powietrze, cuchnące kurzem, mysim łajnem, szmatami i czymś skisłym jakby się tam psuły i rozkładały resztki potraw i parowały zwietrzałe napoje. Bagar wszedł szybko do szerokiej sieni, wyłożonej wytartymi błękitnymi i niebieskimi płytkami kamiennymi i odtrącił nogą z drogi pogniecione wiadro blaszane, które potoczyło się z chrzęstem pod drewniane schody, wiodące na poddasze. Teska wkroczył za nim, przemagając w sobie zażenowanie, jakby w każdej chwili mógł ktoś wyjść z izby i zapytać ich, czego tu szukają.

— No więc masz! — powiedział Bagar i otworzył drzwi do kuchni. — Na ten chlew nie zwracaj uwagi, to się łatwo uprzątnie. Ale budynek jest w porządku, a to najważniejsze.

Skąd się tu wzięły te masy papieru — zdziwił się Teska. Podłoga była nimi grubo pokryta, a na wierzchu walały się szuflady, wyciągnięte ze stołu i z kuchennego kredensu, w którym stało kilka szklanek z grubego, zielonkawego szkła i garnuszków z wyszczerbionymi brzegami lub ubitymi uszkami. Na niemalowanym chłopskim stołku leżała para zadeptanych i dziurawych damskich bucików, na pozbawioną powłóczki poduszkę rzucił ktoś oleodrukowe obrazki świętych i jeden, przedstawiający wesołe towarzystwo myśliwych, przed którymi popisuje się jamnik w okularach i z fajką w pysku. Drzwi od szafy wyrwane z zawiasu zwisały jak pijane, a na ławce obok wyglądającego na nowy i nie uszkodzonego pieca kuchennego zatrzymała się pokrywa z kamiennego garnka, przy której ktoś ubił uchwyt. Teska podniósł wyłamaną z któregoś ze stołków nogę i szturchnął w pokrywę próbując strącić ją na ziemię. Nie ruszyła się, tkwiła na swoim miejscu przylepiona do drewnianej ławy jakimiś spleśniałymi resztkami, które się jej uczepiły. Na pustym stole leżał sobie budząc zdumienie twardy, czarny kapelusz o staromodnym wyglądzie, z szerokim, wysoko podgiętym rondem. Przywodził na pamięć wiejską niedzielę, ostatni moment przed wyjściem do kościoła. Teska szybko odwrócił się od tego widoku.

Ale w pozostałych izbach — a było ich jeszcze dwie na dole i jedna na poddaszu — nie oczekiwał ich lepszy widok. Porozbijane łóżka, porozwalane, chwiejące się szafy, wypatroszone sienniki i słoma piętrząca się na podłodze, porwane resztki znoszonej odzieży i papier, ciągle papier, podstawa maszyny do szycia (głowicę ktoś zabrał), walce do robienia koronek przypominające staromodne zarękawki i stołki na wysokich nogach, mogące służyć za stojaki na kwiaty.

— Nie zwracaj na to uwagi — powtórzył Bagar jak gospodarz, który boi się, że nie uda mu się odnająć mieszkania. — Dam ci tu wszystko, czego będziesz potrzebował.

Słowa te były niepotrzebne. Tesce ręce ściskały się od nagłej ochoty, by rzucić się do pracy i zabrać się natychmiast do porządkowania. Ta narożna izba ma cztery okna, dwa od frontu i dwa w bocznej ścianie. Przypomniał sobie żonę, córkę i matkę. Żadna z nich oczom nie będzie wierzyła. Nigdy by im do głowy nie przyszło, że jest możliwe, by w izbie, gdzie mieszkają ludzie, było tyle światła. Ale Bagar nie pozwolił mu na długie rozmyślania. Ujął go pod rękę i pociągnął za sobą. Przez ostatnie drzwi w sieni wchodziło się do obszernej, sklepionej obory. Nie wyrzucony gnój stwiardniał na podłodze z belek w szare kołacze. W jaskółczym gnieździe, ulepionym między słupem jednej z przegród a tylną ścianą, piszczały młode. Stare jaskółki wlatywały i wylatywały przez wybite okno. Zewnętrzne drzwi były wywalone. Tędy wiódł łupieski szlak do wnętrza domu.

— Tu stały konie, a tu zmieści się wygodnie osiem sztuk bydła — powiedział Bagar. — To nie jest obora, to sala do tańca.

— Gdzie się to wszystko podziało?

— Podziało się tak jak się normalnie podziewa. Z końmi drapnął właściciel, a krowy rozebrali sąsiedzi. Trzy z nich odnalazłem. Resztę podobno zarżnęli Rosjanie. A Rosjanie tutaj nawet miejsca nie zagrzali. Zmotoryzowany pluton obozował tu nie całe pół dnia. Ale trzy krowy mam. Są tutaj po sąsiadach. To ci przecież starczy.

Stali na wyważonych drzwiach obory. Czyściutkie, niezapominajkowe sklepienie nieba chyliło się nad zielonym zboczem. Ciągnący od stoku góry wiatr potrząsał koronami pięciu pokrzywionych jabłoni i odsłaniał zielone jabłka. Bagar kręcił guzikiem u marynarki i spoglądał na Teskę wyczekująco. Teska patrzył chmurnie na jabłka, które w gęstym listowiu bawiły się w chowanego. I jabłka są tutaj. Jesienią wiatr będzie je strącał w trawę, a mała Wiera będzie je zbierała. I trzy krowy. Jeśli nawet jak najuczciwiej będzie odstawiał, zawsze zostanie dla niej garnuszek mleka, jakiego jeszcze w życiu nie piła. W domu w sieni jest wodociąg. Przekręca się kurek i tryska lodowata górska woda. Marysia ani mama nie będą jej musiały znikąd nosić. I dom jest suchy. To dzięki tym piwnicom pod nim. Suchy i pełen słońca. „Zawieźcie ją gdzieś na słońce, do suchego mieszkania — mówił doktór o małej Wierze — a w tydzień wysypka zniknie.“ A tutaj jest przecież także czeska ziemia. Wiadomo, że tak. Musi być czeska, widzisz to tylko ci dranie chcieli nam ją zradym zaczerpnięciu powietrza. To bować i omal im się to nie powiodło. Takie przyjemne, przekonujące myśli snuły się Janowi po głowie i każda z nich jakby nowym węzłem coraz mocniej przywiązywała go do miejsca, na którym stał. Mimo to chmurzył się na wspomnienie tej, która tkwiła najgłębiej.

— No co? — spytał Bagar. — Coś się tak zapatrzył?

— Zastanawiam się.

— Nie masz na to ochoty.

— Zastanawiam się, ile może taka chałupa kosztować. Chałupa dłonie brukarza, a Bagar roześmiał się z ulgą. Chwycił go za prawicę i pociągnął ku sobie.

— No to jesteś wielki kapitalista. Nimi potrafisz zapłacić wszystko, co to będzie kosztowało. Przybijemy na zgodę?

— Muszę przecież dostać jakiś papier na ten dom i w ogóle na to wszystko — odpowiedział Teska.

— Papier dostaniesz, sam ci go wypiszę. Nie bój się, nikt tu nie będzie na ciebie leciał. Być może, że gdy Niemcy odejdą, zostaniesz tu sam jak kołek w płocie. A potem i ty uciekniesz.

Jan Teska uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Zostanę tutaj.

— Powiesz mi to za rok.

— Zostanę zaraz.

— Jak to zaraz? — zdziwił się Bagar. — Masz przecież w Pradze żonę i dziecko. Chyba pojedziesz po nich?

— Najpierw zrobię tu porządek. Nie przywiozę ich do takiego chlewa.

— Chciałbyś to sam robić? Przydzielę ci tu Niemców.

— Nie chcę. Nie chcę im za nic dziękować.

Przeciągły ryk rozległ się nad zboczem i potoczył się w dolinę. Obejrzeli się. Nad najbliższym domem ukazały się trzy łaciate krowy. Natychmiast pochyliły łby i zaczęły skubać wysoką trawę. Aż tu słychać było chropawy szelest ich języków i soczysty chrzęst gryzionych źdźbeł trawy.

WACŁAW RZEZACZ
z czeskiego spolszczył
ZDZISŁAW HIEROWSKI
(Zdjęcia z czeskiego filmu „Wieś na pograniczu“)

JERZY MILLER

Do Andrzeja

I.

Na tle obrazu murów,
remiz, wapna i gwaru
ściskałeś wiersze oburącz
aby im rymy nie obumarły

wśród ulic ciasnych, skąd nadto
woda w namule ścieka
podziemną cembrowin kładką,
gdzie płynąć ustaje rzeka.

O świcie w tłocznej kolejce
naczynia dźwięczą i wiadra
u beczkowozu, gdy woźnicy lejce
zacisnął koniom w kokardach.

Wtedy wysiadłeś z tramwaju,
aby prześlizgnąć się prawie
dłonią dotknąwszy skraju
fartuchów robotnic, by nawlec

swe oczy nowym widokiem
przed bramą fabryki, dokąd
nie szedłeś, mijając bokiem
muru sczerniały prostokąt.

Nie tuliła twoich powiek wiosna,
uchwycona w przelocie obłoków
w zadymionej dzielnicy otoku,
gdzie się sadzy nawarstwiał osad.

Samoloty wzbiły się w przestwór.
Spoglądałeś na lot ich i wiersze
zamierały wbite w nawierzchnię,
w koła aut i zwierzęce sierści

w toku straconych godzin,
gdyś mierząc grunt oporny
obrazów nowych szukał w trwodze
i nie znajdował dla nich formy.

Myślę, jakbym wspominał
w spokoju chłonnym objektywnie
gdy miasto ukazuje wymiar
rewolucji spełnionej szczęśliwie,

ujrzanej w śmiałych konstrukcjach
ożywiających mą nadzieję.
Że się okaże dobrą — wiem,
żaden jej celnik już nie ocli.

Wiosna miejska w pyle
niepolewanym źrenice wyczula.
Na kamiennych spoczywając ławkach
w rojnym parku ocknie się na chwilę

przy źródle, które się zamuli
oliwy tęczowym ziarnem,
w księżyca okrawkach,
w deseniach latarni.

II.

Rozglądając się po bramach
podobni do nas idą zewsząd.
Gdy w seryjnych kamienic ramach
ukazują się dekolty dziewcząt —

odgaduję myśli nie proletariackie
w kokieterii, która jest ozdobą
pamiętników. Spojrzyj! — Czy przed tobą
gra swą rólkę z zetwuemowym znaczkiem,

czy jest jeszcze jak posadzka,
po której taflach wzrok się ślizga
w błyszczeniu nocy na policzkach,
w deszczowych, oczyszczających bryzgach?

Urodę owych dni splątano
w piosenek ornamentyce
o Heli, którą opłakało tango,
gdy ją emigrant porzucił w Ameryce.

Zginęła w porcie Baltimore
jak pierścień. Kto ją wydobędzie
na jaw spod asfaltowej glazury,
z baraku, gdzie się kawę gotuje z żołędzi,

pomywaczkę ciśniętą na okręt,
analfabetkę? — Na Przędzalnianej,
gdzie hale czerwone cynobrem
cegły i miału zabarwiają kamień

gra orkiestra. Ludzie bez uśmiechu
zdani jeszcze na okrutną pamięć
spopielenia ciał i strzechy
rozpiętej na pocisków ramie

wspominają. Na skwerze drzew kora
oddychała i dwutlenku węgla
było dosyć. Kwiaty jak kamfora
w jej włosy wpięte jak w szczeble

triumfalnych łuków omdlewały. Listki
drżące przed rychłym zwiędnięciem
jak kapelusze z wystaw u modystki
zrudziały w słonecznym święcie.

Spoglądając na kąt padania słońca odwracasz powieki,
gdyż cień zawiesza kotarę i znów noc
układa na sylwetkach kominów płótno,
przez które lapis gwiazd przecieka.

— Na pochód, gdy się uginają flagi,
na zielone jak arrasy boisk pola,
trzymając w dłoniach szale wagi
na asenizacyjne spojrzysz koła,

w jej ciała przegięcie,
w minuty, które nie przystaną
ruchome jak krople rtęci
wysypane na dłoń rozedrganą.

Perspektywa Odry

Kiedy świat dowiedział się po raz pierwszy o użyciu bomb atomowych w Hiroshimie i Nagasaki, najbardziej oszołomieni byli jej skutkami i perspektywami sami jej twórcy, Amerykanie. Jedni z nich przerazili się jej śmiercionośnej siły, drugich oślepiła zawarta w niej moc, mogąca być użyta dla celów imperialistycznych. Ci ostatni, a byli nimi z reguły przedstawiciele wielkiego amerykańskiego kapitału, wysnuli z istnienia tej nowej „absolutnej broni" fantastyczne pomysły podboju świata i dalekosiężne plany jego reorganizacji.

Do nich należał przede wszystkim amerykański minister marynarki, a potem obrony, James Forrestal, którego maniacki plan opanowania świata, oparty o zastosowanie aparatu radarowego, tablicy rozdzielczej i bomby atomowej, przewidywał nawet specjalny „pojazd stratosferyczny", który krążąc w permanencji wokół kuli ziemskiej „groziłby otwarciem ognia na każdy naród, nieposłuszny rozkazom twórców sztucznego satelity ziemi". Symptomatyczne, że człowiek ten w tym roku odebrał sobie życie wyskakując z okna szpitala dla umysłowo chorych, w którym się znajdował.

Tego rodzaju rojenia nie pojawiły się po raz pierwszy na świecie. Odkąd istnieje militaryzm, imperializm, odkąd istnieją ludzie, którzy innych chcieliby mieć swoimi niewolnikami i odkąd istnieją takie narody, tak długo szukają one środków technicznych, organizacyjnych, środków strachu i przymusu, którymi mogliby pobić swe upatrzone ofiary i trzymać je później w ryzach. Do użycia posiadanych narzędzi techniki ośmielało zaborców takich zawsze przekonanie, że posiadają w tej dziedzinie przewagę nad swą ofiarą, że zwycięstwo osiągną „błyskawicznie". Dlatego po wsze czasy narody nawet najbardziej pokojowe i pokój miłujące, aby przygasić taką „chętkę" u swych drapieżnych sąsiadów, dbały o równowagę w potencjale technicznym, w potencjale sił, czyli trzymały się zasady „si vis pacem para bellum". Jeśli taka przewaga pomimo wszystko zaistniała, działo się często, że sama groźba użycia siły wystarczyła, by słabszy bez boju przyjmował warunki stawiane przez silniejszego.

Taki szantaż zdawały się uprawiać do niedawna dzięki posiadaniu bomby atomowej Stany Zjednoczone w stosunku do Związku Radzieckiego. Nazywało się to „zimną wojną". Ale Związek Radziecki wykazał w tej zimnej wojnie po prostu zimną krew. I nie dał się ani zastraszyć ani zachwiać w tym, co uważał za słuszne.

Obecnie można zauważyć zmierzch dyplomacji atomowej, a zimna wojna poprzez groźbę ekskomuniki papieskiej wobec komunistów jakby sięgała po nowe, prawdopodobnie równie mało skuteczne środki.

Dyplomacja atomowa kończy się z dwóch głównie powodów: 1) ponieważ państwu radzieckiemu nie jest obcy sekret atomowy, 2) ponieważ analiza wartości strategicznej bomby atomowej wykazała, że nadzieje z nią związane są nieco przesadzone.

W pierwszej sprawie oświadczenia: M. Manuilskiego, że „Stany Zjednoczone bujają w obłokach, jeśli się im wydaje, że one jedynie posiadają tajemnice atomowe", oraz generała Bradley'a we Frankfurcie, że „Stany Zjednoczone nie są wyłącznym posiadaczem tajemnicy atomowej", — oblały zimnym tuszem rozparzone głowy amerykańskich imperialistów.

Druga sprawa wiąże się z badaniami, jakie przeprowadzono na zachodzie, szczególnie w Anglii, nad zagadnieniem wartości strategicznej bomby atomowej. Znalazły one odpowiedni wyraz w książce P. M. S. Blackett'a p. t. „Konsekwencje militarne i polityczne energii atomowej".

Przedtem krążyły opinie, będące oparciem dla dyplomacji atomowej, że bomba atomowa odegra rolę decydującą w przyszłej wojnie. Amerykańskie koła polityczne uważały, że wystarczy rzucić kilkadziesiąt bomb atomowych na zagłębia przemysłowe i miasta radzieckie, aby zapewnić zwycięstwo Stanom Zjednoczonym. Eksperci State Departament wierzyli nawet w tzw. „wojnę arystokratów", coś w rodzaju nowego poprawionego wydania niemieckiego „blitzkriegu", w której kilka eskadr technicznych uzbrojonych w bomby atomowe w mig załatwi się z wrogiem. Wierzyli w to tak jak Hitler w swoje stukasy, dywizje pancerne, a pod koniec w różne V 1, V 2 itd.

Powoli jednak zaczynają inaczej myśleć. Rozważania bowiem Blacketta (fizyka o światowej sławie, laureata Nobla, członka komitetu badawczego nad energią atomową, doradcy najwyższych dowódców wojskowych w czasie wojny), dochodzą do końcowego wniosku, że użycie bomby atomowej, nie niedoceniając bynajmniej jej znaczenia, nie gwarantuje zwycięstwa nad tak wielką potęgą jak Związek Radziecki. Przyszła wojna musiałaby się potoczyć dawnym trybem. Zwiększyłyby się tylko jej rozmiary, jej intensywność, zwiększyłaby się tylko jej „totalność". Warto zaznaczyć, że badania swoje oparł profesor Blackett na danych, zaczerpniętych z raportów amerykańskiej komisji do badań nad bombardowaniami (United States Bombing Survey), ogłoszonych tylko na terenie Stanów.

Interesująca jest np. statystyka bombardowań. Według niej w ciągu całej wojny siły anglo-amerykańskie zrzuciły 2.700.000 ton bomb, straciły przy tym 40.000 aparatów i 160.000 ludzi, zabijając 1.300.000. Na głowę zabitych na terenie Niemiec przypada około 0,38 tony. Pomimo zwiększania co roku „porcji" bomb zrzucanych na Niemcy ich przemysł zwiększał produkcję. I tak w 1942 zrzucono 40.000 ton bomb, Niemcy produkowały wtedy 14.000 samolotów, w 1944 zrzucono 600.000 ton, a niemieckie wytwórnie produkowały 39.600 nowych maszyn. Sądzę, że jest to wystarczająco wymowny dowód absurdalności dotychczasowego stosunku człowieka do techniki, która zamiast z przeznaczenia swego podnosić dobrobyt i warunki materialne bytu człowieka zużywa bezsensownie masę jego pracy i przynosi mu tak śmiertelne i destrukcyjne żniwo.

Według końcowej konkluzji prof. Blacketta niebezpieczeństwo trzeciej wojny światowej wydaje się być dużo mniejsze, aniżeli się na ogół myśli.

Na przykładzie bomby atomowej, jako najnowszej zdobyczy geniuszu ludzkiego w dziedzinie walki o doskonalszy byt, ukazuje się cała wsteczność i antyhumanistyczność amerykańskiej postawy, która technikę pojmuje tak jak wilk swe kły: jako środek napaści i mordu. Gdy tymczasem człowiek używa jej tylko dla stworzenia lepszych warunków bytu, dla powszechnego dobrobytu i powszechnego szczęścia.

Taki jest socjalistyczny stosunek do techniki, do bomby atomowej. Zamiast strachu winna ona dać człowiekowi światło, „elektrykę", dodatkowy ruch maszyn, wytwarzających nowe dobra, potrzebne mu na to, by — więcej miał z tego życia . . .

ES.

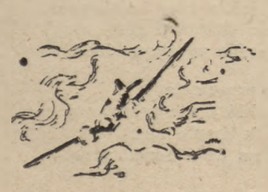

Rys. Marian Wyrożemski

HENRYK WORCELL

U NAS INACZEJ

III

Ale na drugi dzień świat wyglądał inaczej i z rana nikt o Buganowie ani o hulaniu nie myślał. Maria i Bronka wstały wcześniej, by pomyć naczynia po wczorajszej kolacji i myśleć już o dobrym obiedzie, a Józef, Adam i Jędruś pozostali jeszcze w łóżkach. Bracia obudziwszy się rozmawiali nieskładnie i bez humoru — obaj czuli obmierzłą głątwę po wczorajszej polityce.

— Do stajni nie idziesz? — zapytał Adam brata.

— A po co? — odpowiedział ten ziewając — Bronka będzie doić, to bydło nafutruje.

— Hm.. nie ma sensu tak leżeć... — Adam uniósł się na łokciu i spojrzał w okna, za którymi zdruciałe gałęzie śliw chwiały się sztywno na wietrze. — Zimno tu jak w psiarni, trzeba Jędrusiowi napalić.

— Lepiej byś leżał, przyjdzie Bronka, to zapali. No, aleś się wczoraj nagadał.

— A co Zieliński, pewnie zły?

— Ii... gdzie tam...

Chwilę milczeli gapiąc się bezmyślnie w powałę i chłonąc odgłosy dolatujące z kuchni. Wreszcie Adam zerwał się z łóżka i zaczął ubierać.

— Acha! — zawołał z nagłym ożywieniem — przecież ja tu coś mam... — schylił się nad walizką i wyjął nierozlakowaną jeszcze ćwiartkę wódki. — Jak to dobrze, żem zostawił. O, i szklanka też jest. Wypij, zaraz się poczujesz lepiej.

Józef odwrócił twarz z grymasem wstrętu.

— Dajże spokój, nie mogę dziś patrzeć na wódkę.

— Toś głupi, bo zaraz byś się czuł lepiej. Trzeba tylko miec trochę silnej woli i przetknąć.

— Ha, ha — zaśmiał się Józef — to ci się udał ten kawał.

— To wcale nie kawał, mówię serio — wychylił szklankę i odwrócił się, by ukryć skrzywienie twarzy. — Swietnie, zaraz mi kacenjamer przejdzie. No powiedz sam, co tu u was robić? Ja bym się na twoim miejscu albo rozpił, albo zwariował. Nawet gazet żadnych nie macie. Ach, u nas całkiem inaczej...

Rozpalanie w piecu, ubieranie Jędrusia, śniadanie — to wszystko trwało ponad godzinę, a po śniadaniu Adam poszedł do pokoju i ubrał się w płaszcz. Na chwilę przykuła jego uwagę napoczęta cwiartka wodki, postąpił krok ku niej, zawahał się, popatrzył na pustą szklankę, machnął wreszcie ręką i wyszedł z pokoju. W kuchni wszyscy jeszcze siedzieli przy stole.

— Gdzież ty się wybierasz? — zapytała go Maria.

— Przejdę się trochę, może Borek zobaczę.

— A co tam ujrzysz — zapytał ojciec — wszystko pod śniegiem.

Adam jakby zdziwiony spojrzał przelotnie na ojca, ale zanim zdążył mu cokolwiek odpowiedzieć, usłyszał pytanie brata:

— A do Buganowa nie jedziesz?

— Prawda... trzeba by i do Buganowa. Papierosów już nie mamy...

— I mięsa może dostaniemy — dodała Maria.

— No to, Maryś, jedź ty z Józkiem.

Ostatecznie stanęło na tym, że Maria zabierze z sobą Jędrusia, więc Adam zaczekał, aż się ubiorą i zaprzęgną konie, potem odprowadził ich do gościńca. Z daleka zobaczył Zielińskiego, który na widok nadjeżdżającej furmanki i Gajusów chyłkiem jakoś przemknął przez oborę i schował się w stajni. Konik smagany batem ruszył kłusem do Buganowa, Adam krzyknął: „a nie zapomnijcie o gazetach!" i poszedł w przeciwnym kierunku, pod wiatr wiejący od zachodniej ściany lasu. Rzadkie i drobne płatki śniegu zacinały z ukosa, na polach czerniały skiby i czarne wrony huśtały się na gałęziach przydrożnych drzew. Z lewej strony stał jakiś nowy dom, nagi, bez płotów i drzew, z prawej zagroda starego Dudy, a potem już pusta przestrzeń ścieliła się aż do lasu i dalej, dalej aż do zapadłych jakby w ziemię domków Woli Buganowskiej.

Adam zdawał sobie sprawę, że jego uczuciowe porachunki z rodzinnymi stronami dobiegają końca. Zrozumiał, że z tutejszymi ludźmi już nic go nie łączy. Nawet matka, o której tyle myślał podczas wojny, od wczoraj stała się dlań istotą daleką, a dom razem z odwiecznym zegarem i zapłakanymi oknami — ciasny. Pozostał jeszcze Borek ze swym uroczyskiem starych olszyn, skowronków i niezapominajek. „Co ty tam zobaczysz, wszystko pod śniegiem". Oczywiście, ojciec miał na myśli oziminy, czyli chleb, którego im tu ciągle brakuje. Istotnie, żyto w Borku, które powschodziło w jesieni i ledwie się zdążyło rozkrzewić, przyprószył śnieg.

Przy polnej drodze, na wąsatych głogach czerwieniły się jagody, tu i ówdzie zeschłym badylem wiatr szeleścił sucho. A olszyny nie były takie jak niegdyś; przerzedzone i bezlistne sterczały nad grudzistą rolą, śnieg przelatywał przez gałęzie i celował w zamarzniętą fosę. Adam przeszedł przez łąkę, ominął uginające się trzęsawisko, stawek szeleszczący szuwarem i zatrzymał się przed laskiem olszynowym, gdzie niegdyś pasał krowy i podsycał ognisko jesiennymi liśćmi.

„Mój Boże, i czego ja tu szukam?" — powiedział do siebie głośno. A jednak wpatrywał się w rozchwiane gałązki i nie mógł oderwać oczu od ziemi zbielałej i stratowanej racicami krów. „Tu niegdyś..."

Ktoś powiedział, że nie ma Polaka, który by w swym życiu nie napisał chociaż jednego wiersza. I Adam też napisał. Był wtedy daleko od tych stron, w niemieckiej fabryce, pełnej stukotu maszyn, dawno temu opowiadała mu babka — o płanetniku.

Niby gad oślizgły zsunął się z chmury
I człapiąc po wodzie kośławymi stopy,
Istny wodołaz, zmokły, bladoskóry,
Wlazł między olsze do polnej przykopy.

Już ci nie schowku szukał tam przed deszczem.
Ni ciepła w suchej norze liściastej,
Sennym, rozkosznym przejmował go dreszczem
Mokry plusk kropel w gęstwinie olszastej.

Spodobały mu się rozległe bagniska,
Staw o zarośniętej rzęsą topieli,
Łąki gąbczaste, zdrowe trzęsawiska,
Gdzie mógł co nocy taplać się w kąpieli.

Tarzał się, nurkował wśród wodorosty
I kładki zrywał połopek wstrętny.
Żabimi palcami podmulał mosty
I kopki siana spychał w wir mętny.

Aż pewnej nocy usnął zmęczony
Marząc o bagnie i deszczu rzęsistym.
Zginął, słonecznym promieniem rażony.
Pastuchy znaleźli trupak kościsty.

Stąd się ten wiersz narodził, z tych olszyn, z tych szuwarów. Rzecz przykra, że gdy sobie teraz ten wiersz przypominał, nie mógł uchwycić ścisłego związku między nim a Borkiem — teraz już nie napisałby takiego wiersza. Jego uparte wpatrywanie się w lasek olszynowy było męczące i bezowocne — nie umiał połączyć wymarzonego Borku z rzeczywistym. „Mój Boże, i czego ja tu szukam?" — powiedział znów głośno i skierował się ku drodze. Nagle jakoś wewnętrznie poweselał — przyszło mu na myśl, że już jutro może stąd wyjechać razem z Marią i Jędrusiem, a pojutrze stanąć na „Gajusowej Górze". Ach, jak tam w lecie wesoło i cudnie! Ciągniki terkoczą na dworskim polu, echo roznosi po górach gwizd pociągów, a nad Wałbrzychem ścielą się dymy fabryczne. Tam też rodzą się wiersze ale jakże inne od tych z olszynek!

Do domu nie chciał jeszcze iść, bo tam musiałby się albo nudzić, albo znów łyknąć trochę wódki, żeby sobie świat zabarwić i wzbudzić ochotę do rozmowy z Bronką lub ojcem. Zatrzymał się na moście, nad rzeczką Dąbrówką i wsparty o drewnianą poręcz patrzył w wodę obrzeżoną z obu stron wyszczerbionym lodem. Z lasu wyszło dwoje ludzi z wiązkami gałęzi na plecach — jakiś stary, wąsaty chłop i dziewczyna, których wcale nie znał. Przeszli obok niego w milczeniu — może się bali, że ich zbeszta za te gałęzie, co ukradli. „Też biedota, kto tam u nas widział, żeby drzewo na plecach z lasu nosić". Spojrzał jeszcze raz w mętną toń pod mostem i splunął, czekając aż ślina padnie na wodę, potem omiótł wzrokiem okoliczne pola, olszyny w Borku i ciągnący się ku Woli Buganowskiej skraj lasu — i powlókł się w stronę domu, żywiąc nadzieję, że i Maria też lada chwila nadejdzie z Buganowa. Ale ona nie nadjeżdżała. Wobec tego zdjął płaszcz i poszedł urąbać drzewa do żelaznego piecyka. „Też kawał leniucha — pomyślał o Józku — nie może narąbać na całą zimę, tylko za każdym razem ciupie po trochu". Zajęty pracą nie zauważył nawet, że ojciec wyszedł z domu i, ubrany w kożuszek i pantofle, sunie ku niemu żwawym krokiem. Stanął w pewnej odległości od pniaka, chwilę przypatrywał się, jak syn wywija siekierą i wreszcie rzekł:

— No i co, Adam, namyśliłeś się nareszcie?

Syn oparł się o stylisko siekiery i długo patrzył w ziemię.

— Przecież ojciec wie — powiedział wreszcie — że ja tego nie mogę zrobić. No bo jak? — spojrzał staremu w twarz — Józka nie chcę mieć na sumieniu, a we dwie rodziny nie będziemy się tu gnieść.

Stary dziobnął kilkakrotnie laską w ziemię.

— Ja wiedział, że tak powiesz! Ale ja ci i tak zapisał połowę pola. Trzy morgi i pół chałupy twoję — mówiąc to wyciągnął z zanadrza papier listowy złożony w czworo i podał go synowi. — Ty nie bądź za mądry. Na zachodzie wiekował nie będziesz, w razie czego masz tu swój kąt i te jałowe ziemniaki, co nie chcesz jeść.

Adam patrzył na zapis i niby czytał, a w rzeczywistości myślał jak ojcu odpowiedzieć. Przede wszystkim stłumił w sobie odruch lekceważenia w stosunku do trzymanego w ręku papieru — rozumiał przecież, że stary poczciwiec przywiązuje do niego wielką wagę. Przypomniał sobie czyjeś powiedzenie: „Za dużośmy już krwi przelali, nasza rewolucja musi być bezkrwawa". Stary nie wierzył w rewolucję nawet bezkrwawą i nic już jego poglądów na nowe życie nie zmieni, po cóż więc ranić go, odmawiając przyjącia bezwartościowego daru.

— Doskonale! — odrzekł — może ojciec ma rację. W każdym razie Marysia się uczy. Ale niech ojciec nie myśli, że ja tak bez niczego... parę tysięcy ojcu zostawię.

— Ja ci nie po to zapisał, żebyś mi płacił. Należy się Józkowi, należy się i tobie.

— Wszystko jedno, na papierosy się ojcu przyda, czasem na kieliszek... Acha! — zawołał wyczuwszy w ojcu ożywienie na sam dźwięk słowa „kieliszek" — może się na to konto napijemy? Mam jeszcze trochę...

Nabrał pełne naręcze polan i stwierdziwszy z zadowoleniem, że od strony Buganowa nadjeżdża już znajomy wóz, poszedł za ojcem do pokoju. Właściwie to sytuacja, w jakiej się teraz znalazł, była dlań nad wyraz kłopotliwa.

Wypadało mu przecież cieszyć się i grać rolę wdzięcznego syna, a tu na chwilę nie mógł zapomnieć o tym, że to czyste komedianctwo. „Całe szczęście, że stary się nie domyśla, to by dopiero była chryja".

— Ano, na zdrowie, niech ojciec żyje sto lat!

Wypili, otarli usta, Adam ucałował ojca w rękę, ten zaś rzekł:

— A Józkowi lepiej na razie nic nie mów.

— Pewnie że nie. Jak będzie wojna, to i tak się dowie, bo tu przyjedziemy, a jak nie będzie, to niech sobie zbiera z całych sześciu morgów. A te grosze niech ojciec teraz weźmie — to mówiąc wyjął z portfela parę banknotów i wetknął je w kieszeń ojcowego kożucha — po co mają tamci wiedzieć? O, już jadą... Wypijmy resztę...

Maria przyjechała z miasta jakaś skwaśniała, niezadowolona — Adam zauważył to od razu.

— Cóż ci się stało? — zapytał odbierając od niej Jędrusia.

— Niiic... zmarzłam trochę, taki paskudny wiatr — wspólnie z Adamem dźwignęła z wozu kosz pełen towarów i zaniosła go do kuchni. Zabawiła tam dłuższą chwilę rozwijając towary i omawiając z Bronką sposób przyrządzenia obiadu, wreszcie przyszła do pokoju, zdjęła płaszcz, usiadła obok piecyka i przygarnęła do siebie Jędrusia.

— Mów co chcesz — rzekł do niej Adam — ale widzę, że ci coś brakuje.

— Tak mi jakoś smutno — odpowiedziała — och, nie chciałabym tu za nic mieszkać! Ten Buganów, ci ludzie... Rzeczywiście: „aptekarz, ksiądz i organista", jak ty mówisz. Gdzieś czytałam taki wiersz: „za oknem stoi chuda śmierć obywatelska" — ona chyba musiała być w Buganowie. A Józek..., pomyśl sobie, dźwigam Jędrusia i taki ciężki kosz, żeby on się domyślił pomóc mi... Gdzie tam! — stoi jak byczek przy wozie i gapi się na wrony. U nas to jakoś inaczej, ludzie lepiej wychowani, grzeczniejsi.

— Ach, co się będziesz tym przejmować! Nie czekamy do niedzieli, jedziemy jutro.

— Naprawdę, że tak! — ożywiła się Maria. — Ja ci też chciałam to powiedzieć, tylko, że ze względu na twoich rodziców... Ach, co tam, i tak całe dwa dni tu będziemy.

Adam milcząc wyciągnął z kieszeni ojcowy zapis i podał go żonie.

— Co to jest? — zapytała.

— Przeczytaj.

Z rosnącym zainteresowaniem przebiegła wzrokiem pismo, oddała je mężowi i dość szorstko zapytała:

— Po coś to wziął?

Urażony trochę jej tonem, odparł równie niegrzecznie:

— Musiałem. A co ty myślisz, miałem ten papier przy nim potargać? Bądź co bądź, to jest ojciec, a jemu wydaje się, że robi jak najlepiej. Ciekawym, co ty byś na moim miejscu zrobiła?

Milczeli chwilę, Maria przełamywała się wewnętrznie, zrozumiała widać, że niepotrzebnie uraziła męża.

— No tak — rzekła w końcu sadowiąc Jedrusia na kolanie — to mnie teraz wypada pójść do niego i podziękować za ten kłopot.

— No pewnie — zaśmiał się Adam. — Ja już to mam poza sobą, naweteśmy obaj już oblali ten fajny interes.

— Ja też widzę, że ci wesoło... A co ja mam mu powiedzieć?

— Pójdziesz, uklękniesz ładnie i powiesz tak: kochany tatusiu, z całego serca dziękuję wam za majątek. Ja nic waszemu synowi w posagu nie dałam, ale za to będę pracować z całych sił moich, z całej duszy mojej i kochać waszego syna aż do śmierci.

Ostatnie słowa domówił zasłaniając się obu łokciami przed polanem lecącym od pieca. Humor młodym Gajusom wyraźnie się poprawił. Zastanawiali się jeszcze, czy całej tej historii z zapisem nie opowiedzieć Józefowi i Bronce i co zrobić z tym papierem.

— Trzeba go schować — mówił Adam — bo nużby kiedyś ojcu przyszło na myśl zmienić coś w zapisie, a my go nie mamy. Wstyd.

— O której jutro mamy pociąg?

— O dwunastej z minutami idzie bezpośredni do Wrocławia. Tam będziemy przed północą, a rano wczas napewno złapiemy jaki pociąg do Wałbrzycha. Telegram do Wicka nadamy jutro rano w Buganowie.

— A jak nas tu jeszcze będą chcieli zatrzymać do niedzieli?

— Nie damy się. Do diabła, co jabym tu robił? Łaził z kuchni do pokoju i patrzył w okna? Zaraz, jak przyjedziemy do domu, to przede wszystkim idę do gminy, a potem biorę się do zwózki drzewa. Styczeń się wnet skończy, potem luty, i wiosna! Masz ty pojęcie, jak to przyjemnie będzie wyjść w pole i zgóry popatrzyć na nasz dom i na całą wieś! A łąki jak na naszej górze zakwitną! A burza jak nadejdzie od Wałbrzycha i zahuczy w lesie! Chciałabyś już tam być?

Spojrzała na niego miłośnie, potrząsnęła twarzą, jak gdyby ją zanurzyła w bukiet rozkwitłego bzu, i powiedziała:

— Och bardzo!

Henryk Worcell.

Raport wiejski

Poniżej drukujemy raport z odcinka pracy kulturalno-społecznej na jednej ze wsi Ziem Odzyskanych. Autorem poniższych uwag jest nauczyciel wiejski, działacz społeczny z terenu opisywanej wsi.

Życie nie stoi w miejscu, to, co umiesz dziś, nie starczy ci na jutro — dotrzymać kroku — pozwoli ci książka... Tym hasłem otwarto niedawno jedną z 1600 bibliotek gminnych w pewnej miejscowości w północnej części powiatu bytomskiego. Wygłoszono przemówienia, deklamacje, wybrano Komitet Biblioteczny i zainteresowani rozeszli się do domów. A Prus, Żeromski, Sienkiewicz spoglądają z półek szafy bibliotecznej i czekają cierpliwie na prowincjonalnych czytelników. Mogłoby wydawać się, że głód książki, jaki dawał odczuwać się w tej miejscowości, zostanie w ten sposób zaspokojony. Jednak biblioteka liczy zaledwie 59 czytelników. Czynniki miarodajne, którym dobro upowszechnienia oświaty i kultury na wsi leży na sercu, zrobiły swoje — a jednak wieś nadal nie potrafi znaleźć drogi do książki.

Prowincja nie jest jeszcze dostatecznie nasycona książką. Pomijając na razie ostatnio otwartą bibliotekę i świetlicę, wydaje mi się, że upłynie jeszcze sporo lat, kiedy będziemy mogli stwierdzić, iż czytelnictwo na wsi umasowiło się. Przede wszystkim należy wprowadzić książkę na wieś w innej formie niż dotychczas. Zapoczątkowana w zeszłym roku akcja bezpłatnego rozdawania książek dała w rezultacie, jak na początek, bardzo dobre wyniki. Świat pracy podjął i zrealizował apel Związku Literatów i OKZZ w Katowicach, przekazując „Braciom i Siostrom Śląska Opolskiego w rocznicę Manifestu Lipcowego" kilkadziesiąt tysięcy książek, skierowując je nie do bibliotek lecz na własność do domów prywatnych. Niestety w roku bieżącym akcja ta już się nie odbyła.

Wieś musi odczuwać fizyczną obecność książki. Stąd mój apel do Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" o wprowadzenie witryn księgarskich i kiosków z książkami w naszej gminie i przyległych gromadach. Obecność książki na miejscu wpłynie na na wytworzenie się zwyczaju nabywania jej z okazji różnych uroczystości rodzinnych. Pozwoli to również na szybsze wyparcie pokutującej jeszcze to i ówdzie książki niemieckiej. Należałoby również pomyśleć o wydaniu taniej książki do nabożeństwa. Opolanie chcąc nie chcąc używają jeszcze w niejednym wypadku modlitewników niemieckich. A na tym cierpi sprawa repolonizacji.

Po niedawnym zebraniu miejscowego Związku Samopomocy Chłopskiej jeden z chłopów, przystępując do mnie, zaprosił mnie do siebie, aby przeczytać mi napisany ręką oderwaną od pługa utwór sceniczny, traktujący o przemianach społecznych, zachodzących na wsi. W dyskusji prowadzonej z nim, żalił się, że prowincją ludzie, których „język giętki", interesują się jeszcze za mało. A tematyki dla poetów i pisarzy na prowincji nie brak, trzeba tylko chcieć opuścić mury miasta. Samorodni działacze kulturalni wiejscy są odosobieni i trzeba koniecznie przyjść im z pomocą.

Miejscowość nasza tęskni za teatrem, a chociażby tylko „amatorskim". Jak rok długi nie widzi ani jednej sztuki teatralnej. Zasadniczą przeszkodą w odegraniu jakiegoś przedstawienia jest brak odpowiedniego Domu Społecznego ze sceną. A chętnych do amatorskich zespołów scenicznych nie brak, tylko nie ma się kto nimi zainteresować. Brak odpowiedniej sali ze sceną to także niemała przeszkoda. Czy Gminna Rada Narodowa i Związek Samopomocy Chłopskiej pomyślały, jak zaradzić temu?

Kino Oświatowe nie zdołało dotąd odnaleźć drogi do naszej miejscowości. Nie wiem, czy dzieje się to ze złej woli, czy też Dyrekcja Filmów Oświatowych w Katowicach nie wie, że w powiecie bytomskim istnieje miejscowość, której mieszkańcy filmu w ogóle nie widzieli. Jest to zaniedbanie wprost karygodne. I pomyśleć, że taki stan istnieje w okresie, gdy zaniedbania na polu oświaty i kultury, spowodowane ostatnią wojną, powinny być wyrównane przy pomocy ulepszonych metod naukowych, gdy pierwszorzędną rolę odegrać może dobry film oświatowy, który uczy i wychowuje, rozwija pojęcia społeczne i polityczne.

Sprawą pilną to zradiofonizowanie naszej miejscowości. Jeśli sąsiednie powiaty zrobiły w tym kierunku poważny krok naprzód, to z ubolewaniem stwierdzić musimy, że powiat bytomski na tym odcinku ma poważne zaległości. Jeśli mieszkańcy prowincji za mało mają czasu na szczegółowe czytanie prasy, to radio jest wygodniejszym środkiem kontaktu ze światem. Akcja ta musi być podjęta od dołu.

Musimy pomnożyć zastępy światłych synów chłopskich, przez dopomożenie im w zdobyciu średniego i wyższego wykształcenia. Dlatego czynniki oświatowe powinny zainteresować się tą młodzieżą i stworzyć w nowo budującej się szkole naszej wsi — jedenastolatkę rozwojową. Należałoby znaczniej powiększyć już istniejące stypendia dla synów chłopskich. Młodzież Śląska Opolskiego rwie się do wiedzy. Jako przykład może posłużyć fakt, że w styczniu br. grupka młodzieży zgłosiła się samorzutnie do piszącego z prośbą, o utworzenie kursu repolonizacyjnego — na który bardzo chętnie uczęszcza, chcąc dokładnie poznać język polski, jak również historię i kulturę Polski. Tylko, że władze szkolne mało się tym kursem interesują.

Dotkliwie daje się odczuwać w naszej miejscowości brak organizacji kulturalnych i młodzieżowych. Młodzież, obok systematycznego kształcenia, musi się wyżyć, czy to w chórze, orkiestrze, czy też w jakimś klubie sportowym. W tym kierunku powinna również ruszyć radykalna ofensywa ludzi, którym dobro młodzieży naszej leży szczególnie na sercu. Poza kursami P. R., repolonizacyjnym i „Służbą Polsce" — młodzież chodzi luzem. Brak przede wszystkim ZMP. Utworzony zespół sceniczny nie może przejawić żadnej działalności, z braku odpowiedniej sztuki teatralnej dostosowanej do jego sił i poziomu mieszkańca wsi. Możeby mógł tu przyjść z wydatną pomocą Wydział Kulturalno-Oświatowy Woj. Komisji Zw. Zaw. w Katowicach.

Sprawą nie cierpiącą zwłoki, to mianowanie w naszej świetlicy jak i w sąsiedniej gromadzie, płatnych kierowników, którzy by pokierowali całokształtem pracy świetlicowej. Bez tych kierowników otwarte z dużym nakładem finansowym świetlice — kuleją i nie spełniają należycie swej roli.

Alojzy Leon Kloza

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Kolej żelazna o jesieni

Już nie ucieknę przed tęsknotą,
ona jedzie tym samym pociągiem.

Oto są koła i szyny, oto żelazo i rytm,
jest w tym czyjś czarny trud i czarne ziemi wnętrze.
Stalową smugą odpływa stłumiony tunelem głos.
Jak nasz jesienny los.
Nic więcej.

„Odremontowana Fabryka Wagonów — Wrocław"
budowała ten wóz,
— trochę z tym rzewniej, trochę prościej.
Twarze ludzi podróżnych. No cóż?
Nikt z nich nie wie o naszej miłości.

Maszynista na lokomotywie akompaniuje gwizdem.
On powinien być rudy.

A może wolisz gładszą strofę?
To tylko myśli w usta przemień,
a wiersz posypię starym złotem
i jeszcze raz odwrócę dzieje,
co było przedtem — będzie potem.

Widzisz — ja nie umiem pisać wierszy o szczęściu.
Miłość dojrzała jak wrzesień.
Niech nie przekwitnie.

HELENA BYCHOWSKA

Diariusz dziejowy pewnego miasta

Karlovy Vary, we wrześniu 1949

Nie ma chyba na świecie człowieka, który by nie słyszał, albo nie czytał o jednym z najbardziej znanych uzdrowisk światowych a zaiste najpiękniejszym uzdrowisku zachodniej Czechosłowacji — Karlovych Varach.

Miasto szesnastu leczniczych zdrojów, liczące obecnie około 13 tysięcy stałych mieszkańców, leży w odległości 120 km na zachód od Pragi, w głębokiej dolinie rzeki Teplej, do której się zjeżdża bardzo efektowną i malowniczą serpentyną, odsłaniającą za każdym zakrętem coraz to nowe widoki na miasto, przycupnięte w dole i otoczone zielenią, niby „brylant w szmaragdowej oprawie", jak powiedział kiedyś o nim Humboldt. W koło miasta wznoszą się wzgórza, sięgające 640 m, pokryte starannie utrzymanymi lasami mieszanymi, stanowiącymi miejsce urozmaiconych przechadzek i wycieczek. Średnia ciepłota roczna Karlovych Varów wynosi 7° C, średnia roczna opadów atmosferycznych 550 mm. Miasto położone jest na wysokości 381 m nad poziomem morza. Umiarkowany kontynentalny klimat uzdrowiska powoduje długą, piękną wiosnę, niezbyt gorące lato, łagodną, piękną jesień i prawie bezśnieżną zimę.

Miasto dzieli się na dwie części: na część wyraźnie uzdrowiskową i na część handlowo-mieszkalną. Środek części uzdrowiskowej stanowi plac im. Benesza, na którym wznosi się piękny barokowy teatr, stale czynny, jako że sezon w Karlovych Varach trwa cały rok. Tuż obok placu Benesza wytryskuje najsilniejszy zdrój Karlovych Varów, — słynny gejzer Vrzidlo. W pobliżu mieszczą się zakłady kąpielowe Nr III i IV, kościół Marii Magdaleny, w stylu barokowym, wzniesiony w 1736 r., Zarząd Uzdrowiska, słynny hotel Pupp, hotel Imperial, niby zamek obronny górujący nad miastem i osławiona Młyńska Kolumnada, pod którą mieści się 5 zdrojów, i gdzie kuracjusze, przechadzając się, piją wodę przy dźwiękach miejskiej orkiestry, grającej już od godziny 7 rano.

Z otaczających uzdrowisko wyniosłości: Wzgórza Benesza, Wzgórza Stalina, Jeleniego Skoku itd. roztacza się szeroka panorama na

Miejska wieża — jedyny fragment, jaki się zachował z dawnego zamku Karola IV

okolice miasta i na ciągnące się na horyzoncie, w odległości 30 km Góry Kruszcowe, które stanowią granicę czesko-niemiecką.

Według istniejącej legendy, niepozbawionej jednak, pewnego prawdopodobieństwa historycznego, najsłynniejsze karlovarskie źródło — Vrzidlo, — dawniej nazywane Sprudel, — zostało odkryte przez cesarza Karola IV w roku 1349. Pewnego dnia — opowiada legenda, — gdy cesarz polował na jelenia wśród karlovarskich lasów, psy zapędziły się za zwierzęciem i znikły w gęstych zaroślach. Po chwili do uszu cesarza i jego świty doleciało ich żałosne wycie. Przedarłszy się przez krzaki myśliwi ujrzeli, że psy wpadły do sporego jeziorka pomiędzy skałami. Z nad wody unosiła się para. Cesarz, znający cieplice zagraniczne, kazał zbadać wodę odkrytego zdroju i przekonał się, że jest to woda lecznicza.

Legendę tę trzeba przyjąć jednak z pewnym zastrzeżeniem, ponieważ istnieje identyczna wersja dotycząca odkrycia wód Akwizgranu przez Karola Wielkiego.

Druga legenda, nosząca już bardziej baśniowy charakter brzmi nieco inaczej i związana jest, jak zawsze w okolicach górskich, z gnomami i krasnoludkami. Dotyczy ona powstania w ogóle źródeł Czechosłowacji zachodniej, a więc zarówno Karlovych Varów, jak Mariańskich i Frantiszkowych Łazni.

Tyle legendy. Co się tyczy ścisłej prawdy historycznej, to o dalekiej przeszłości Karlovch Varów mamy stosunkowo szczupłe wiadomości. Można przypuszczać, że Vrzidlo było znane już za czasów rzymskich, ponieważ w latach 70 ubiegłego stulecia, podczas budowy domu przy ulicy Vrzidelnej, został znaleziony w ziemi mały posążek wyobrażający rzymskie bóstwo. Wiek posążku oblicza się na 2000 lat. Był to czasy, kiedy przez dolinę Ohrze (Eger) prowadził bardzo ożywiony szlak handlowy, łączący Rzym z doliną Elby. Można więc przypuszczać, że liczni kupcy, legioniści i zwykli pielgrzymi, obeznani z termami w Italii, korzystali również z gorącego źródła ówczesnej małej wioski słowiańskiej — Varów, późniejszego Karlsbadu, tj. Karlovych Varów.

Kwestionując piękną legendę o odkryciu zdroju przez Karola IV, nie należy jednak pominąć milczeniem olbrzymich zasług cesarza, dotyczących założenia uzdrowiska jako takowego. Dzięki tym zasługom miasto sprawiedliwie zostało nazwane od jego imienia.

Odkrycie Vrzidla przez Karola IV. Obraz I. Kandlera

Karol IV, jeden z najbardziej kulturalnych ludzi ówczesnej epoki, założyciel praskiego uniwersytetu, energicznie zajął się stworzeniem uzdrowiska w dolinie rzeki Teplej. Na jego rozkaz zostały wzniesione pierwsze domy dla przybywających do Varów gości, pierwszy budynek kąpielowy — były to kąpiele publiczne; — dla własnych potrzeb kazał wybudować zameczek, w którym się zatrzymywał, przyjeżdżając do Varów z pobliskiego Lokcia. Pozostałość tego zamku — wieża — została później wmurowana w miejską wieżę, z której do r. 1852, tj. do momentu przeprowadzenia do miasta kolei, specjalnie czuwający tam trębacz ogłaszał miastu zbliżające się do uzdrowiska pojazdy kuracjuszy. Poza tym część ludności, zamieszkująca sąsiednie wioski — Drahovice, Taszowice (należy zwrócić uwagę na typowo słowiańskie brzmienie tych nazw!) została przesiedlona do Varów, gdzie w ten sposób powstała mała osada. Sam cesarz często przyjeżdżał tam w celu przeprowadzenia kuracji chorej nogi, którą kąpał w źródle noszącym dotychczas nazwę źródła Karola IV. Źródło to mieści się na Rynkowej Kolumnadzie i jest ozdobione płaskorzeźbą, wyobrażającą cesarza w czasie zabiegu.

Odtąd mała osada zaczyna się rozwijać. Król Vaclav w r. 1401 nadaje Karlovym Varom przywilej, polegający na tym, że bez specjalnego pozwolenia, wydanego przez zarząd miejski, nikt obcy nie miał prawa wjazdu do uzdrowiska. Zarządzenie to miało chronić miasto przed licznymi napadami rabunkowymi zarówno zwykłych rozbójników jak również feudalnych panów, którzy (a szczególnie hrabia von Schlick) pragnęli powiększyć swoje ziemie na rachunek Karlovych Varów.

Pierwsze pisemne wiadomości o Karlovych Varach czerpiemy z łacińskiej ody na cześć miasta źródeł, napisanej w połowie XV w. przez czeskiego humanistę Bohuslava Lobkowica z Hassensteinu. Oda ta została później przełożona na 28 europejskich języków, jak również i na narzecza. Istnieje także przekład polski, ale, niestety, nazwisko tłumacza nie jest znane.

Szesnaste stulecie było dla Karlovych Varów epoką badań nad działaniem wody na różne schorzenia, oraz okresem prób wprowadzenia nowych sposobów leczenia. Dotychczasowa kuracja polegała bowiem jedynie na kąpielach. W roku 1522 karlovarski lekarz Wenzel Payer opublikował pracę „Tractatus de thermas Caroli Cuarti", w której po raz pierwszy zaleca picie gorącej wody Vrzidla. Ilość wypijanej wtedy wody dziś nas po prostu przeraża: zalecano bowiem wypijać dziennie od 4 do 10 litrów! Kąpiele stosuje się w dalszym ciągu. Kąpiele te są długotrwałe, chorzy przebywają w wannach po kilkanaście godzin, w wannie spożywają posiłki, czytają, drzemią, przyjmują wizyty. Temperatura wody stale podtrzymywana jest niemal do temperatury źródła, nic więc dziwnego, że po kilku dniach takiej kuracji, pacjent dosłownie „wyłaził ze skóry". Ale o to właśnie chodziło, gdyż wierzono, że w ten sposób łatwiej się jest pozbyć choroby. Kąpiele odbywały się przeważnie w domach prywatnych, dokąd wodę przynoszono. Około Vrzidla były jednak zbudowane specjalne zakłady kąpielowe, drewniane, oddzielne dla kobiet, oddzielne dla mężczyzn i oddzielne wspólne kąpielisko dla ubogich.

Normalnemu rozwojowi miasta, którego woda coraz bardziej znaną się stawała w Europie, przeszkadzały jednak liczne klęski żywiołowe i wojny. Położone w głębokiej dolinie, miasteczko skupia się na stosunkowo wąskim paśmie nadbrzeżnym Teplej. Nic więc dziwnego, że powodzie, a było ich w historii miasta kilkanaście, katastrofalnie niszczyły uzdrowisko, zmywając domy i urządzenia kąpielowe. W roku 1604 miasto prawie całkowicie strawił pożar. W kilka lat potem, gdy miasto zaczęło się dźwigać i odbudowywać, wybuchła niszczycielska 30-letnia wojna. Pomimo listów ochronnych, różnych przywilejów, chroniących miasto itd. Krlovy Vary bywały napadane i rabowane, nakładano na nie kontrybucje, gnębiono kwaterunkami. Mieszkańcy, zazwyczaj godzący się z losem i cierpliwie znoszący jego przeciwności, zbuntowali się tylko raz, kiedy w roku 1635 oddział rajterów, niezadowolonych z łupu i pragnący się zemścić na mieście, zaczął kamieniami zasypywać otwór Vrzidla. Wówczas oburzeni mieszczanie siłą odparli rajterów.

Miasto nie zostało zupełnie zrujnowane tylko dzięki temu, że obie strony nieprzyjacielskie uznawały wolność leczenia się w Karlovych Varach. Oficerowie, więc, wrogich armii przy wjeździe do miasta, musieli deponować broń, która im bywała zwracana przy opuszczeniu miasta. Vrzidlo więc stało się wówczas niejako symbolem pokoju.

Pomimo tych klęsk i nieszczęść miasto jednak rośnie. W XVIII w. karlovarski lekarz David Becher, nazwany później karlovarskim Hipokratesem po raz pierwszy dokonał analizy chemicznej wody zdrojowej i na podstawie tej analizy zalecił picie wody bezpośrednio przy źródle, a nie jak dotychczas w domu. Poza tym opracował metody leczenia różnych chorób, opisał ujemne reakcje występujące często podczas kuracji, wreszcie pierwszy podał projekt wyciągania z wody Vrzidla słynnej później karlovarskiej soli.

Szczególny wzrost miasta datuje się dopiero od chwili przeprowadzenia do niego kolei, czyli od roku 1852.

W latach 1892 — 98 powstaje jedna z najciekawszych i najbardziej reprezentacyjnych budowli miasta, słynna Młyńska Kolumnada, dzieło architekta Zitka, tego samego, który budował w Pradze gmach Narodniho Divadla. Podobnież jak i teatr, kolumnada jest zbudowana w stylu kornyckim. W końcu XIX st. powstaje najpiękniejszy zakład kąpielowy, tak zwane Cisarzske Laznie, wspaniały hotel Pupp, mieszczący 500 pokoi, szereg willi prywatnych i tzw. lazenskych domów, czyli domów kuracyjno-wypoczynkowych. W roku 1907 na najwyższym wzgórzu dominującym nad miastem zostaje wzniesiony monumentalny hotel Imperial, obecnie sanatorium. Jednocześnie miasto buduje liczne zakłady lecznicze, szpitale, itp.

Ciekawa jest statystyka odwiedzin Karlovych Varów. Dla przykładu tylko kilka cyfr: w roku 1800 odwiedziło miasto 774 kuracjuszy, zaś w roku 1900 — 50 tysięcy. W roku 1912 — przez miasto przepłynęło 200.000 kuracjuszy i turystów...

O tym, kto bywał w Karlovych Varach i jak bywał można opowiadać nieskończenie wiele. Kroniki miasta obfitują w opisy wspaniałych zajazdów głów koronowanych, książąt krwi, słynnych dowódców, luminarzy nauki i pióra. Wspominają nawet o przybywających na kurację pieszo z Polski kilku biednych Żydach... Niezmiernie ciekawe są opisy uroczystości, zabaw i licznych imprez rozrywkowych, urządzanych bądź przez samych tytułowanych kuracjuszy, bądź też przez miasto ku ich czci, oraz opisy ich leczenia się na „wodach". Wallenstein np. przybył do Karlovych Varów w towarzystwie świty, jadącej na 800 koniach. Za świtą tą jechała domowa kapliczka, apteka, kuchnia, buchalteria, sztab pisarzy, kelnerzy, własna pralnia, własna jatka, karczma itd. Oczywiście o prawdziwym leczeniu się w takich warunkach nie mogło być mowy, gdyż pobyt takiej osobistości zazwyczaj zamieniał się w szereg zabaw, bali, przyjęć i widowisk.

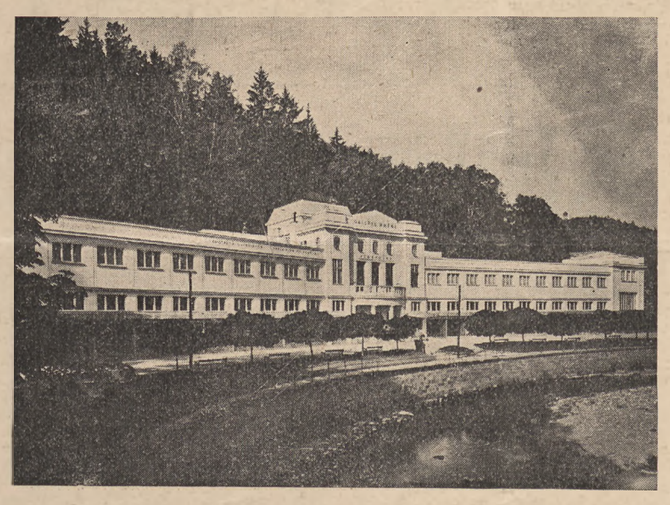

Gmach Galerii Sztuki

W roku 1695 był w Karlovych Varach August II Mocny, który do kąpieli chodził pod ekskortą 700 żołnierzy. Na Starej Łące (obecnie ulica, dawniej plac rozrywkowy) król kazał wznieść altanki, do których zostały przeprowadzone urządzenia wodotryskowe. Król zabawiał się napędzaniem strachu karlovarskim mieszkankom, które przychodziły na Starą Łąkę potańczyć, przez niespodziane oblewanie ich wodą.

Większość kuracjuszy przyjeżdżała jednak z zamiarem poważnego przeprowadzenia kuracji. Wśród nazwisk najbardziej utrwalonych w pamięci miasta figurują takie jak: Goethe, który tu był 13 razy, Schiller, Beethoven, List, Brahms, Paganini, Grieg, Turgieniew, Gonczarow, Gogol, Leibnitz, Humboldt, Chateaubriand i wielu innych wybitnych poetów, pisarzy, uczonych i muzyków.

Nas zainteresują przede wszystkim polskie nazwiska. A zatem miasta Vrzidla odwiedzili Ignacy Krasicki, Julian Ursyn Niemcewicz, Jan P. Woronicz, Kazimierz Brodziński, Antoni Edward Odyniec, Adam Mickiewicz, Fryderyk Chopin, Ignacy Paderewski. Mickiewicz przybył do Karlovych Varów w roku 1829, dnia 24 lipca i zatrzymał się w domu „Pod białym Łukiem". Wiadomo jest, że w czasie swego pobytu i kuracji w Karlovych Varach Mickiewicz spotykał się z czeskimi i słowackimi poetami i literatami, szczególnie zaś ze znanym czeskim budzicielem Wacławem Hanką, który nawet prosił Mickiewicza o napisanie dramatu z czasów husyckich.

Pomnik A. Mickiewicza do roku 1939 znajdował się w Karlovych Varach w pobliżu hotelu Richmond. Niemcy jednak, po zajęciu Czechosłowacji, przystąpili do niszczenia kulturalnych pamiątek czeskich; ich los podzieliło i popiersie naszego Wieszcza. Ale na jesieni ubiegłego roku staraniem Miejskiej Rady Narodowej i bardzo aktywnego Towarzystwa Przyjaźni Czesko-Polskiej w Karlovych Varach, nowy pomnik-popiersie naszego poety został umieszczony na dawnym miejscu. Również jeden z domów kuracyjnych został przemianowany na dom pod nazwą „Mickiewicz". Spotkać tam można również i inne domy noszące polskie nazwy, a więc „Warszawa", „Paderewski", „Labicki", „Chopin". Tablica pamiątkowa ku czci Chopina, który odwiedził miasto w sierpniu 1835 r. i mieszkał w hotelu „Pod złotą różą", widnieje wmurowana w skałę na jednej z leśnych ścieżek za hotelem Pupp. Zachowało się wiele innych polskich napisów na skałach, a szczególnie dużo ich jest w małej kapliczce koło hotelu Pupp, gdzie są również liczne polskie ex-vota.

Widok Karlovych Varów (pocz. XVII w)

A teraz jeszcze kilka słów o samych zdrojach i ich wykorzystaniu. Uzdrowisko posiada 16 cieplic, których temperatura waha się od 16 do 73° C. Według ogólnie przyjętego podziału są one rozróżniane jako alkaliczno-salinowo-solne, albo glaubersko-słone. Poza tym posiadają Karlowe Vary źródła żelaziste, zawierające węglan żelaza i surowy kwas siarkowy. Wszystkie cieplice karlovarskie biorą początek z tak zwanej „karlowarskiej szczeliny cieplic", która przebiega 1.800 m. głęboko pod miastem w kierunku NNW-SSO. Źródła te są pochodzenia wulkanicznego.

Najpotężniejszym zdrojem jest Vrzidło, nadające uzdrowisku charakterystyczne piętno. Gejzer ten, wytryskujący na wysokość 10—12 metrów, ma wdajność 2.000 litrów wody na minutę i ciepłotę 73° C. Na swej drodze ku powierzchni ziemi przebija, po wyjściu z pokładu pierwotnego, przeszło 10-cio metrowej grubości skorupę zdrojową, przedstawiającą stalaktyt skrystalizowanego węglanu wapnia z domieszką węglanu żelaza. Na tej skorupie zdrojowej leży znaczna część uzdrowiska.

Pozostałe źródła o ogólnej wydajności 200 litrów na minutę, używane są raczej tylko do picia, z wyjątkiem Zamkowego, którego woda wykorzystywana jest dla inhalacji.

Zdroje te zostawały odkrywane stopniowo, często przy pracach melioracyjnych w mieście, często przypadkowo. Źródło Skalne np. odkryto po jednej z licznych powodzi, które nawiedziły miasto, kiedy wody rozmyły skały w tym miejscu, gdzie właśnie mieściło się źródło. A taki naprzykład zdrój Rynkowy ni z tego ni z owego sam się objawił, wytryskując w końcu ubiegłego stulecia w domu pewnego szewca.

Skład chemiczny wody zdrojowej jest mniej więcej jednakowy; różnią się one między sobą jedynie ciepłotą, i w związku z tym zawartością gazów szlachetnych, dwutlenku węgla i emanacją.

Karlovarskie wody są stosowane przede wszystkim przy chorobach żołądka, jak nieżyty, nad i niedokwaśność, choroby jelit, wrzody na dwunastnicy, nieżyt jelit grubych, zaparcie, choroby wątroby, zapalenie dróg żółciowych, kamienie żółciowe, choroby śledziony, nerek i narządów moczowych, choroby przemiany materii, wreszcie choroby skry, egzema, świerzb itd.

Pomimo, że Karlovy Vary nie są miastem rozrywkowym, kuracjusze, przybywający na leczenie i turyści, znajdują oprócz pierwszorzędnie urządzonych i wygodnych domów wypoczynkowych, także szereg rozrywek. Pomijając już piękno spacerów w bliższe i dalsze okolice miasta, w samym mieście nie brak urozmaicenia: jest więc teatr czynny przez cały rok, o bardzo urozmaiconym programie (wystawia się także sztuki polskie), trzy kina, nie licząc kina na łące, gdzie odbywa się tradycyjny Festiwal Filmowy w sierpniu każdego roku, jest sala koncertowa, biblioteka, muzeum, stała wystawa wzorków produkcji fabryk zachodniej Czechosłowacji, słynnej ze swych wyrobów porcelanowych, ceramicznych i sztucznej biżuterii, istnieją korty tenisowe, pole wyścigowe oraz liczne kluby i towarzystwa, jak Towarzystwo Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej, Alliance Francaise, American Club i założone w ubiegłym roku Towarzystwo Przyjaźni Czeskosłowacko - Polskiej. Przy okazji kilka słów o tym Towarzystwie. Założone w roku ubiegłym, liczy obecnie ponad 300 członków, posiada własną, choć skromną, bibliotekę, nawiązało ożywione kontakty z centralą i oddziałami Towarzystwa Polsko - Czeskiego w Polsce (Katowice, Poznań, Toruń). Prezesem jest dr Józef Nosek, wielki przyjaciel Polski i Polaków, prawdziwy spiritus movens Towarzystwa. Towarzystwo posiada własną siedzibę w hotelu Slovansky dum i zbiera się co tydzień. Na zebraniach tych zostają wygłaszane referaty i odczyty na tematy polskie, odczytuje się utwory polskich autorów dawnych i współczesnych, często występują przebywający na leczeniu Polacy, przyjeżdżają z Pragi i innych miast czeskich specjalnie zapraszani prelegenci. Wymienię tu chociażby nazwisko prof. dr. Mariana Szyjkowskiego, profesora Uniwersytetu Karola IV w Pradze i prof. dr. Ignata Hanusza, b. lektora języka czeskiego w Poznańskim Uniwersytecie, założyciela licznych polsko - czeskich i czesko - polskich klubów przed wojną. Ten ostatni w związku z rokiem Mickiewiczowskim wygłosił niedawno bardzo ciekawy odczyt o naszym Wieszczu.

HELENA BYCHOWSKA

O Szymonie Konarskim

Henryk Mościcki: Szymon Konarski Warszawa 1949 Państwowy Instytut Wydawniczy

Z kalwińskiej rodziny, liczącej wśród swych przodków niejednego podróżnika po Europie („perygrynanta"), syn oficera walczącego w kampani 1792 w Insurekcji Kościuszkowskiej, a potem sędziego, Szymon Konarski (urodzony w roku 1808) odebrał wykształcenie staranne. Władał dobrze językiem francuskim i niemieckim, później angielskim i rosyjskim, wyróżniał się wiadomościami z geografii, historii, matematyki, rysował, pisał wiersze, grał na flecie. Wstąpiwszy do wojska w 19 roku życia (1826) walczył w Powstaniu Listopadowym, otrzymał nominację na podporucznika, odznaczył się jako niezmiernie dzielny oficer w kampanii litewskiej. Po upadku Powstania i dwumiesięcznym pochodzie przez Niemcy udał się na emigrację do Francji, gdzie wraz z tysiącem towarzyszy znalazł się w zakładzie („depot") w Besancon. Zakład ten był czymś pośrednim między obozem internowanych ,a koszarami „Pomieszczeni w obozach", pisze Henryk Mościcki powstańcy „żyli trybem wojskowym, w oczekiwaniu na spodziewane utworzenie regularnych formacji militarnych polskich. Nadzieje te jednak stawały się coraz niklejsze, a stosunki w zakładzie besancońskim coraz uciążliwsze". W tych warunkach jedni uchodźcy wdali się w sprzeczki polityczne, swary i intrygi; inni rozpoczęli pracę samokształceniową w Towarzystwie Zjednoczenia Braterskiego i Towarzystwie Wzajemnego Oświecenia. Szymon Konarski należał do tej drugiej grupy, studiował pilnie dzieła francuskich teoretyków socjalizmu utopijnego: Babenfa, Saint-Simona, Fouriera, Babet'a i innych. Był to, jak się zdaje, okres krystalizowania się radykalnych poglądów Szymona Konarskiego, który co prawda jeszcze przed powstaniem, w 1827 roku zawarł w wojsku znajomość z nastrojonym już wtedy radykalnie Wojciechem Daraszem. W r. 1832 rewolucjonista i patriota, wyciąga Konarski ze swych przekonań wnioski konkretne, praktyczne: zostaje konspiratorem. Zapisuje się do tajnej organizacji karbonariuszów, tworzącej się wewnątrz istniejącej w Besancon loży wolnomurarskiej. Karbonariusze, czyli węglarze głosili walkę z despotyzmem, wstecznictwem, przywilejami i przesądami. W tym właśnie czasie organizacje republikańskie we Francji przygotowały wybuch powszechnej rewolucji europejskiej, chcąc obalić rządy króla Ludwika Filipa we Francji, oraz wszcząć powstanie w Niemczech, Włoszech i Polsce. Wyprawa partyzancka do Polski, pod dowództwem płk. Józefa Zaliwskiego miała osłonić Europę zachodnią przed interwencją carską. W ostatniej chwili rewolucjoniści francuscy odroczyli wybuch, ze względu na niedostateczność przygotowań — lecz Zaliwski, mimo to, wyruszył. Konarski przyłączył się jako ochotnik do tej akcji i w lutym 1833 podążył do kraju. O głodzie i chłodzie, gdzie niegdzie wspomagany przez węglarzy niemieckich, dotarł do stron rodzinnych, lecz przekonawszy się o bezskuteczności akcji, musiał przekroczyć granicę pruską. Równocześnie sam Zaliwski dostał się do austriackiego więzienia, a 26 partyzantów padło w walce, lub zginęło od kul carskich czy stryczka.

Konarski wyniósł z tej wyprawy nie zniechęcenie do walki rewolucyjnej, lecz przekonanie — o konieczności rozumnego jej przygotowania. „Trzeba broń wesprzeć myślą" mówił. „Zanim broń pochwycimy do ręki, trzeba poczuć i wiedzieć w jakiej myśli chwytamy za broń!" Osiadł najpierw w Belgii, gdzie zarabiał grą na flecie po restauracjach i zegarmistrzowstwem; potem Rada Polaków w Szwajcarii sprowadziła go do Bienne. I tu, naturalnie, znów wszedł do organizacji. Przyjęto go do grupy Młodej Polski, której celem było: „obalić ciągnienie korzyści człowieka z człowieka, przywołać wszystkich ludzi do ich godności, do wolności, do równości praw politycznych". W roku 1834 bierze znów Konarski udział w wyprawie sabaudzkiej, która miała obalić despotyczne rządy króla Karola Alberta, protoplasty dynastii, panującej we Włoszech aż do r. 1945. Ale wyprawa ta nie udała się, wskutek niedołęstwa dowódcy gen. Ramorina. Konarski musiał się więc ukrywać pod nazwiskiem „Simon Konar, artysty... muzyka, urodzonego we Frankfurcie". Pracował tutaj w fabryce zegarków, a jak wyznawał w listach „patrząc na szczęście ludu szwajcarskiego niejedną noc przepłakałem, myśląc, że tego w moim kraju nie ma."

Ale ten szlachetny marzyciel był także — i nade wszystko — człowiekiem czynu. Siedzieć z założonymi rękoma, nie potrafił nigdy. I stycznia 1835 ukazał się pierwszy numer dwutygodnika radykalnego „Północ", „poświęconego szczęściu ludów północno wschodnich". Pismo to redagował Konarski wspólnie z Janem Czyńskim. W artykule redakcyjnym zaznaczono, iż dwutygodnik stać będzie z dala od waśni emigracyjnych, które w tym samym mniej więcej czasie tak zasmucały Mickiewicza. Zwracano się natomiast bezpośrednio do ludów:

„Bracia nasi jęczą w niewoli, ciemności, w nędzy. Knut króluje nad brzegami Newy i Wisły; krew, pot, użyźniają ziemie, gdzie powinna panować swoboda. Ten stan przeciwny naturze, znieważający godność ludzkości, nie może się ostać."

Ale, jak pisze prof. Mościcki, „praca w redakcji nie mogła zaspokoić żywiołowego temperamentu Konarskiego. Rwał się do akcji czynnej, do nowej partyzantki. Na próżno Czyński odwodził go od tego... wskazując na czujność tajnych agentów policji carskiej". Szymon Konarski nawiązał stosunki z nową organizacją, „Dzieci Ludu Polskiego". Niespodziewanie aresztowany przez policję francuską, został wydalony do Anglii. Ale traktował ten epizod już tylko jako etap na drodze do kraju. W czerwcu 1833 przybył do Brukseli, gdzie z ramienia rewolucjonistów polskich (Lelewela, Wincentego Tyszkiewicza i Konstantego Zaleskiego) otrzymał misję konspiracyjną w Polsce. W myśl otrzymanych wskazówek miał „połączyć tajne związki polityczne o zasadach demokratycznych, dążące do niepodległości Polski; pozyskać dla rewolucji lud, przy pomocy drobniejszej szlachty i duchowieństwa; gromadzić broń, zebrać wiadomości o majątkach i dochodach kapitalistów". Opatrzony funduszami, szyfrowanymi listami i paszportem na nazwisko zegarmistrza Burhardta Sieversa udał się Konarski przez Niemcy do Krakowa, dokąd szczęśliwie dotarł w lipcu 1835 r. (Wolne miasto Kraków było wtedy poważnym ośrodkiem akcji konspiracyjnej i rewolucyjnej). Po kilku tygodniach wyruszył Konarski dalej na wschód. W ostatnich dniach lipca przeszedł pod Brodami granicę. Zaczął się w jego życiu ostatni rozdział, rozdział działalności najgorętszej. Ukrywając się u Ignacego Rodziewicza, dzierżawcy majątku Lissowo, położonego wśród lasów i bagien, Konarski zdołał stworzyć potężną organizację. „W niestrudzonych wycieczkach, narażony ustawicznie na aresztowanie, pod często zmienianym nazwiskiem i w różnych przebraniach docierał do odległych miejscowości..." Nieraz był przyjmowany nieufnie, podejrzewano w nim prowokatora lub szpiega. Wszystkie te trudności przezwyciężył, organizacja objęła 3000 osób. Porozumiał się także z rewolucjonistami rosyjskimi i ukraińskimi, dwukrotnie wyjeżdżał do Petersburga, gdzie uzyskał przyrzeczenie ułatwień w porozumieniu z garnizonami rosyjskimi. Jednakże policja carska ostatecznie wpadła na trop wielkiego konspiratora. „Rysopis i portret Konarskiego rozesłano do wszystkich urzędów, badano podróżnych na stacjach, w zajazdach i restauracjach. W maju 1838 roku natrafiła ta obława Konarskiego w Wilnie; zdołał się jeszcze wymknąć z miasta, ale 27 maja w Krzyżówce, stacyjce pocztowej pod Wilnem, został poznany i aresztowany." Natychmiast zbadany przez wicegubernatora, księcia Trubeckiego stał się ofiarą strasznych tortur, ale jak pisał sam gubernator „ten zatwardziały zbrodniarz nic nie wyznał i nikogo nie wydał, z uporem niewybaczalnym". W więzieniu usiłował ratować naszego rewolucjonistę szlachetny oficer straży Mikołaj Kuźmin-Korowajew. Jednakże, zdradzony przez jednego z więźniów, został por. Korowajew skazany „za zdradę świętych obowiązków oficera" na karę śmierci przez ćwiartowanie, zamienioną w drodze łaski na dożywotne więzienie. Tymczasem powołany przez Mikołaja I sąd wojenny przeznaczył Konarskiego na śmierć 26 lutego 1839. Nazajutrz wyrok ten wykonano. „Przez kordon wojska, nie zważając na najeżone bagnety przedarł się Rosjanin, Aleksander Weysztard i zagarnął czapką piasek zbroczony krwią Konarskiego. Tłum, porwany tym przykładem runął ku miejscu stracenia".

Postacią konspiratora, rewolucjonisty, patrioty i męczennika, zajęli się liczni historycy. Bibliografia dotycząca Konarskiego, obejmuje (według prof. Mościckiego) przeszło 200 pozycji. Wiele gorących słów poświęca Szymonowi autor „Historii Demokracji Polskiej", Bolesław Limanowski. Przytacza on m. in. wiersz Seweryna Goszczyńskiego na cześć męczennika:

Anioł narodowej sławy
Nie przejdzie niemy nad twoją mogiłą.
Chwilę twej śmierci jak pomnik poświęci
Zawiesi nad nim jak wieniec te słowa:
On za lud umarł. Cześć jego pamięci.

Ale los zdawał się krzywdzić naszego rewolucjonistę nawet i po śmierci. Najcenniejsze materiały do życiorysu i działalności Konarskiego zostały zniszczone w bibliotekach warszawskich w r. 1939 i 1944. Inne znów dokumenty zaginęły w mieszkaniu zasłużonego biografa Konarskiego, prof. Henryka Mościckiego, gdy po Powstaniu przebywał w obozie. Część tych materiałów ocalała częściowo dzięki dokonanym przez Mościckiego pracowitym notatkom.

Wyborny znawca naszych dziejów porozbiorowych, Henryk Mościcki zajmował się Konarskim już od r. 1924, wtedy wydał pierwszą o nim książkę. Obecnie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego wyszła krótka biografia prof. Mościckiego, napisana jasno, ściśle, zwięźle bez zbędnego patosu, a jednak głęboko wzruszająca i wymowna. Mościcki uwydatnił poglądy Konarskiego, jego działalność, związanie z całym współczesnym ruchem radykalno-rewolucyjnym, zwłaszcza francuskim, włoskim i rosyjskim (np. z ideologią dekabrystów).

Po wydanej w roku ubiegłym książce Witolda Łukaszewicza („Szymon Konarski" Spółdzielnia „Książka" Warszawa 1948), który zresztą kilkakrotnie powołuje się na poprzednie prace prof. Mościckiego — najnowsze wydawnictwo Państw. Instytutu Wydawniczego powinno spopularyzować postać naszego rodaka, który odegrał wielką rolę w rozwoju polskiej myśli patriotycznej i radykalnej, gdyż bez Szymona Konarskiego trudno sobie wyobrazić Edwarda Dembowskiego, a także akcję „Czerwonych" podczas Powstania Styczniowego.

Wojciech Natanson

Krótkie spięcia

Słownik watykański

Są rozmaite, jak wiadomo, na świecie słowniki językowe, które znajdują się stale in statu nascendi. To znaczy, że ustawicznie są one uzupełniane, jako że przecież język jest czymś żywym i płynnym, oraz podlegającym najrozmaitszym prawom ewolucyjnym.

Istnieje więc naprzykład — między wieloma innymi — słynny słownik Akademii Francuskiej, nie istnieje natomiast ciągle jeszcze słownik polski, mimo że już dawno zostało powiedziane, iż „Polacy nie gęsi, też swój język mają" — a istnieje również i słownik watykański.

Tak. Bo trzeba o tym wiedzieć, że Watykan, posługujący się zawsze łaciną, musi dbać o to, aby wszelakie nowoczesne terminy językowe uzyskały w tejże łacinie swój należyty odpowiednik. Specjalna więc komisja językowa zajmuje się redakcją owego słownika i ostatnio znalazła odpowiednie łacińskie określenia dla następujących wyrazów, powszechnych już we wszystkich językach:

Naprzykład — bomba atomowa. A więc bomba atomowa została określona w słowniku watykańskim, jako: „Globus atomica vi displodens", co tłumaczy się, jako: „Kula rozlatująca się przy pomocy siły atomowej". Wcale udatne określenie!

Dalej znaleziono odpowiednik dla radia. Otóż radio (tzn. nie aparat radiowy, lecz radio jako takie) po łacinie nazywa się tak: „Nuntium per aetherias undas missum" — czyli: „Wieść, przesyłana falami eterowymi".

No i wreszcie, co najciekawsze, komisja słownikowa ustaliła nazwę łacińską dla słowa — komunista.

Komunista tedy nazywa się w ten sposób: „Aequandorum bonorum fautor", co tłumaczy się jako: „Człowiek, dążący do dokonania równości dóbr".

Pomimo więc polityki watykańskiej, walczącej stale z postępowymi ruchami politycznymi i społecznymi świata, pomimo ekskomuniki komunistów, komisja słownika watykańskiego doszła do przekonania, że określić komunisty nie można inaczej, jak tylko prawdziwie i sprawiedliwie.

Jest to więc drobny wprawdzie, ale charakterystyczny, a zapewne i mimowolny, hołd, oddany wielkiej, chociaż zwalczanej przez siebie idei.

Okazuje się zatem, że nawet i Watykanowi udają się czasami sprawiedliwe posunięcia. Chociażby tylko w słowniku.

Niejaki X.

Kronika kulturalna Wrocławia

WROCŁAW. (gg) W wielkim studio rozgłośni wrocławskiej odbył się koncert muzyki organowej w wykonaniu prof. Oćwieji. W programie tego koncertu była słynna symfonia Widora.

● W Hali Ludowej odbyły się występy regionalnych zespołów ludowych. Bogaty program artystyczny zawierał tańce i pieśni regionalne.

● Wystawa objazdowa „Śląsk w pradziejach Polski", która poczynając od Wrocławia odwiedzi wszystkie powiatowe miasta Dolnego Śląska, posiada bogate eksponaty z zakresu historii, nad których wyborem czuwał prof. eksponaty z zakresu historii, nad których wyborem czuwa prof. Jamka. W 12 oszklonych składanych gablotkach pokazane zostaną przedmioty pochodzące z wykopalisk jak urny, naczynia, broń i narzędzia prehistoryczne. Dla uzupełnienia dodanych zostanie 8 wielkich trójbarwnych tablic, ilustrujących życie, wierzenia i obyczaje dawnych mieszkańców Dolnego Śląska. Wykonanie tablic powierzono wrocławskim plastykom Kamińskiemu i Łańcuckiemu. Ruchoma wystawa zawierać będzie oprócz tego szereg wykresów, map dokumentów i modeli, które zbliżą licznym rzeszom zwiedzających nasze pradzieje.

● Zespół artystyczny Centralnego Domu Kultury Zw. Zaw. Pracowników Przemysłu Budowlanego w Warszawie odbył turnee po województwie dolnośląskim, występując we wszystkich zakładach pracy. We Wrocławiu amatorski zespół ten, składający się z szoferów, murarzy, ślusarzy, sztukatorów i innych wystąpił w świetlicy Państwowej Fabryki Wagonów.

● Eksponaty z działu historycznego Wystawy Ziem Odzyskanych przejęło Muzeum Historyczne we W

Pierwszy krok teatralny Katowic

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI: LEKKOMYŚLNA SIOSTRA, komedia w czterech aktach, premiera w Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach w dniu 10. IX., reżyseria Romana Zawistowskiego, dekoracje i kostiumy Jana Hryńskiego, udział biorą: Władysław Woźnik (Henryk Topolski), Halina Cieszkowska (Helena), Roman Zawistowski (Janek Topolski), Roman Hierowski (Władysław), Lidia Korwin (Maria), Irena Tomaszewska (Ada), Stanisław Winczewski (Olszewski), Eustachy Gawlik (Lokaj).

Wystawiona już w dniu 10 września pierwsza premiera nowego sezonu oznacza, że teatr katowicki pod dyrekcją Władysława Woźnika zabrał się do pracy szybko i solidnie. Częściowe przeniesienie „Lekkomyślnej siostry" z Krakowa, wznowienie „Seansu" i przygotowywane wznowienie „Makara Dubrowy" stanowić będą pierwszy etap pracy teatru, w czasie którego przygotowane zostaną sztuki większe i rozpocznie się właściwa realizacja planów repertuarowych.

Ale wystawienie „Lekkomyślnej siostry' nie jest tylko podyktowane ułatwieniem w realizacji, które daje gotowe już opracowanie reżyserskie i opracowanie kilku ról przez aktorów. W okresie ożywionych dyskusji repertuarowych i odzywającej się często krytyki naszej tzw. komedii mieszczańskiej trzeba w nim widzieć i próbę Perzyńskiego jako autora, o którym ostatnio słyszało się coraz więcej sądów lekceważących lub wręcz dyskwalifikujących. Myślę, że na tych sądach zaważyło znane i przytoczone w „Wieczorach Teatralnych" jako maksyma zdanie Boy'a, który powiedział — z okazji słabej zresztą i nietrwałej komedii „Polityka" — że Perzyński to najdobrotliwszy z satyryków, że jest on „niby św. Franciszkiem z Asyżu ludzkiej głupoty". Sugestia tego efektownego i trochę ironicznego powiedzonka zaczyna ciążyć nad naszymi sądami o Perzyńskim jako komediopisarzu. Proszę mi pokazać tę świętofranciszkowską dobroć w postaciach Lipowskich i samym „szczęściu Frania", proszę mi ją pokazać w charakterystyce rodziny Topolskich, w Olszewskim czy Adzie. Dobroć i dobrotliwość są skłonne do rozgrzeszeń. A czy Perzyński rozgrzesza Lipowskich lub Topolskich wraz z ich bliższym i dalszym otoczeniem? Nie. W swych intencjach pisarskich stoi od rozgrzeszeń jak najdalej. Sądzi tych ludzi jaskrawym odsłanianiem moralnych sprężyn ich działania, przy czym sąd ten jest tym ostrzejszy, że ciepłe spojrzenie poety pada na postacie Marii i Frania, że te postacie obdarzone są przy tym rysami sympatycznymi (choć w wypadku Marii nie dość jasno sprecyzowanymi), kontrastującymi z otoczeniem. Ironia Perzyńskiego jest ostrą i tnie do żywego, operuje często grubym i jaskrawym podkreśleniem zajmowanego przez pisarza stanowiska, jak np. w całej historii z Olszewskim lub w tym cytacie Heleny Topolskiej z Pisma św.

Teatr katowicki rozpoczął sezon „Lekkomyślna siostra" Włodzimierza Perzyńskiego. Na zdjęciu: I. Tomaszewska (Ada), Wł. Woźnik (Henryk Topolski), L. Korwin (Maria), H. Cieszkowska (Helena), R. Zawistowski (Janek Topolski)

Fot. Br. Stapiński

Wydaje mi się, że sąd o dobrotliwości satyry Perzyńskiego wynika ze sposobu grania jego komedii. Komedie te obfitują w doskonały dowcip a w niewielką dozę komizmu. Tymczasem ostry (chciałoby się czasem nawet powiedzieć konstruowany z pasją) dowcip słowny i sytuacyjny autora „Lekkomyślnej siostry" interpretuje się u nas komicznie. I dlatego tam, gdzie widz powinien śmiać się cicho, dyskretnie, jakimś śmiechem wewnętrznym, który budzi się w nas wtedy, gdy komedia komediowymi środkami wymierza sprawiedliwość otaczającemu nas światu, śmieje się „całą gębą" i bawi się trochę jak na farsie. I dlatego wydaje mi się dalej, że Perzyńskiego należałoby grywać dyskretniej, jakby poważniej, z wielką troską o pointy i powiązania dialogu, bez przeciągania sytuacji, gestu i mimiki w efekty farsowe. Z chwilą, gdy ta zasada idzie w zapomnienie, więcej się na jego komediach bawimy, a mniej myślimy i mniej wyciągamy wniosków. Myślę, że takiego ujęcia jego komedii domagą się nowoczesna, realistyczna interpretacja. Nie chodzi tu o to, bym uważał Perzyńskiego za wielkiego myśliciela i pisarza o głębokiej pasji krytyki społecznej. Protestuję tylko przeciw jego rzekomej dobrotliwości. Perzyńskiego grano dobrotliwie wówczas gdy widownię zapełniała publiczność, która bez dobrotliwego ujęcia jego satyry nie chciałaby patrzeć w to zwierciadło, którym były jego komedie i oglądać własny, nie uszminkowany konterfekt. Dziś natomiast reagujemy przede wszystkim na przesłanianą dobrotliwym komizmem gry ostrość jego satyry społecznej i dziś myśl nasza nie zatrzymuje się na ostatnich słowach

Stanisław Winczewski jako Olszewski

jego sztuki, ale snuje dalej jej wątek i niedopowiedziane wnioski.

Będzie zapewne samowolą ze strony krytyka przymierzać jedną z tych dwóch koncepcji do tego, co zrobił z „Lekkomyślnej siostry" zdolny i doskonały reżyser Roman Zawistowski, którego Katowice dobrze wspominają z roku 1945 choćby tylko za świetną „Moralność pani Dulskiej". Ale chcąc być konsekwentnym trzeba sobie na tą samowolę pozwolić. Wówczas dojdziemy do wniosku, że przedstawienie katowickie stoi pomiędzy tymi dwoma koncepcjami, przy czym wiele elementów przedstawienia wskazuje na to, że przeważa tu ujęcie od strony komizmu. Spektakl obfituje w mnóstwo bardzo zabawnych momentów, raz po raz budzących na widowni pełny, prawdziwie wesoły śmiech, pełne zadowolenia i rozbawienia oklaski. Kto zna inne przedstawienia tej sztuki, pomyśli może, że najwięcej tego śmiechu budzi karykaturalnymi i prostymi rysami kreślona postać Ady, która zwyczajowo już grana była u nas w stylu jaskrawej farsy. Otóż nie. Widzów najwięcej bawią postaci Heleny i Olszewskiego, które moralnie są najmniej zabawne i co do których nie jestem pewien, czy Perzyński chciałby je widzieć bardzo zabawnymi. Poza Adą najwięcej humoru wnosi w sztukę Janek Topolski, którego popisowy cynizm ułatwia odczytywanie intencji autora i stawia kropkę nad „i" w jego sądach o pokazanych na scenie postaciach oraz tworzonym przez nie milieu, mimo że postać ta niczym zasadniczym się z tego milieu nie wyłamuje. Przeciw humorowi, który wnoszą te dwie osoby, nie bronimy się, ale mamy ochotę bronić się przede wszystkim przed humorem, który sieje Halina Cieszkowska w roli Heleny. Jej temperament aktorski „podniósł" w dużej mierze sztukę i wyłamał się spod kontroli reżyserskiej. Ona też najwięcej nagrzeszyła w stosunku do tekstu stałym stosowaniem nieuzasadnionych skoków głosowych. Grzeszyła też werwą, wyrażającą się niestety gestem, intonacją i mimiką, które zaczynają już u tej świetnej aktorki przechodzić w szablon i gierki obliczone na znaną jej dobrze publiczność, która zresztą zawsze niezawodnie kwituje je oklaskami. Sytuacja Heleny jest tartuffowska, a świętoszkowatości nie manifestuje się z takim temperamentem. Po prostu wymaga znacznie większej czujności wewnętrznej, o-

Dyr. Władysław Woźnik jako Henryk Topolski

panowania nerwów i samokontroli. Dlatego tej interpretacji postaci Heleny nie uważam za trafną. Jest za jaskrawa, za krzykliwa i za wulgarna. Po prostu za nadto farsowa, a to osłabia ostrze wymierzonej w nią satyry Perzyńskiego.

Przedstawienie, które ujrzeliśmy w dniu 10 września wymaga jeszcze pewnego szlifu, który przyjdzie niewątpliwie w miarę rozgrywania się sztuki i szybko doprowadzi ją do formy całkowicie doskonałej. Potrzeba tego szlifu widoczna jest już i z tego, że na premierze poszczególne role krzepły dopiero w swej koncepcji i wyrazie w miarę rozwijania się sztuki. Da się to zwłaszcza powiedzieć o Henryku Władysława Woźnika z bez zastrzeżeń świetnym aktem czwartym. Równe przez cały czas role dali Zawistowski, Tomaszewska i Winczewski. Na podkreślenie zasługuje tu szczególnie oryginalna rola Ady w interpretacji Tomaszewskiej, która potraktowała tę postać bez farsowej szarży, z umiarem i tendencją do głębszego psychologicznego ujęcia. Ubyło przez to łatwego komizmu sztuce, ale wydobyte zostały walory komediowe postaci. Winczewski grał doskonale farsę miłości, ale mam pewne wątpliwości, czy Helena mogła w nią wierzyć. Zrobione to było bardzo dobrze, ale nieco chyba za ostro. Zresztą na jego roli a przede wszystkim na rolach Romana Hierowskiego i Lidii Korwin zaciążył miejscami fakt, że reżyser niektóre ich sytuacje rozwiązał nienaturalnie i sztywno. Mam zwłaszcza pretensje do całej rozmowy Władysława z Marią, do ich pożegnania (gdzie „wrogość" rozstania, o której mowa w sztuce?) i do obydwóch scen Marii. Jest to rola krótka, ale bezwzględnia trudna już z winy samego autora, który dziejów i wizerunku psychicznego tej postaci wyraźnie nie dorysował. Lidia Korwin gubiła się w jej subtelnościach i niedopowiedzeniach, dała więc postać anemiczną i po prostu banalną.

I jeszcze jedna pretensja. Zastosowane tempo gry nie zawsze wychodziło na korzyść naprawdę świetnemu dialogowi sztuki. Przypominam, co swego czasu napisał w „Listach z Teatru" o Perzyńskim Jerzy Szaniawski: „Pisma Perzyńskiego mogą służyć w przyszłości jako dokument nie tyle obyczajów, co mowy mieszczańsko-inteligenckiej; a nawet, co najważniejsze, jako dokument m y ś l e n i a tych ludzi, jeżeli się tak można wyrazić — myślenia potocznego. Łatwego. Gromadzkiego". Na omawianym przedstawieniu wiele krótkich spięć dialogowych, ciętych i subtelnych w swym dowcipie powiedzeń z klasycznego repertuaru mowy mieszczańskiej zatarło się a w pośpiechu zamazywały się czasem całe kwestie.

Trafne i pełne smaku wnętrze mieszczańskiego saloniku dał Jan Hrynkowski, któremu zawdzięczać też należy urozmaicone i z umiarem zaprojektowane kostiumy, z których mniej udały się tylko niektóre toalety pań.

Zdzisław Hierowski

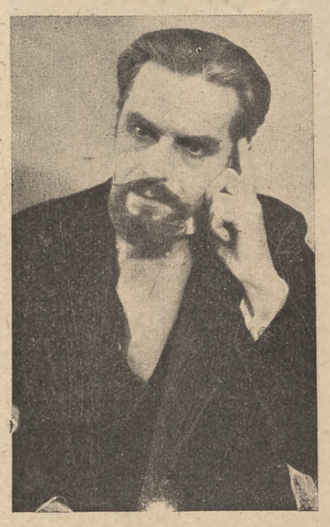

Roman Hierowski jako Władysław

Encyklopedia „Odry"

PISZ

Ciche, senne, w puszczy zaszyte kresowe miasteczko na starożytnej ziemi jaćwińskiej, dźwigające się powoli z ruiny spowodowanej wojną — Pisz — było świadkiem ciekawych wydarzeń.

Pokonawszy bohaterskich Jaćwingów, rozproszywszy ich po swoich i cudzych sąsiednich ziemiach, wznieśli krzyżacy drewnianą „budę myśliwską", umocnioną (jak twierdzi znakomity Hartnock), aby „strzegła komunikacji z Polską i Litwą". Krzyżacy nadali jej nazwę Johannisburg, spolszczoną przez ludność na Jańsbork lub Janów, a w herbie zamieścili ściętą głowę Jana Chrzciciela.

Polscy bartnicy nad uroczym błękitnym jeziorem Nidzickim i rozlewnym Warszawskim uzyskują prawo polowania między litewską granicą a jeziorem Karwik. Działo się to w 1367 roku. Wiele ucierpieli dwukrotnie podczas najścia Kiejstuta nie tylko owi bartnicy, ale i osiedli na podzamczu Polacy. Starosta Jan Kollin bronił się dwukrotnie zacięcie w miejscu, zwanym popularnie „Dansker" i dwakroć wzięty został do niewoli.

Dopiero ostatni mistrz Zakonu Albrecht Hohenzollern przed wypowiedzeniem Polsce wojny ufortyfikował Pisz, wzniósł obronny zamek, który jednak wpadł w ręce Polaków.

Miastem trzeciej klasy stał się Pisz w roku 1645 — miał dwie bramy i most, liczył 115 domów, 1200 dusz i 9 radnych miejskich — oparł się Tatarom hetmana Gąsiewskiego, którzy zawlekli jakąś zarazę; wyniszczyła ona doszczętnie konie i bydło.

Mało zaludniony powiat piski po wojnie szwedzkiej przygarnął wypędzonych z Polski arian. Dziwni to byli heretycy: chłopów samowolnie uwłaszczali, domagali się rozdziału kościoła od państwa, prostaków uważali za braci równych sobie, unikali zbytków, miłowali nauki i mowę polską, liczyli wśród siebie zastęp najtęższych w Polsce głów. Zaludnili cały szereg wsi, w Kosinowie na Ariańskiej górze dozwolono im wznieść jedyny dom modlitwy, a na mogilniku spoczął prawdopodobnie Samuel z Przypkowic Przypkowski, światłem Polski i światłem Europy zwany, a także pracujący w Piszu znakomity „nauczyciel" Samuel Arciszewski.

Pracowali ciężko i uczciwie, zwalczani przez Stany Pruskie i duchowieństwo luterskie, zniknęli wreszcie z widowni na przełomie XVIII i XIX wieku.

W pamięci ludu zakarbowało się niezwykłe wydarzenie. Dnia 4 czerwca 1698 r. odbyło się „świetne" polowanie, na które przybył krewniak „księcia w Prusiech" i elektora brandenburskiego, jegomość król Polski August II, w obszernej karocy biskupa warmińskiego Załuskiego, który mu towarzyszył. Według relacji tegoż król kazał jechać tak szybko, że książę pragnący go powitać siedem mil przed Piszem, spotkał go już o ćwierć mili od miasta.

Z twierdzy dano trzykrotnie salwy z armat, „których nie było zbyt wiele". W czasie pierwszego obiadu na zamku, kiedy nakrycie księcia umieszczono obok królewskiego, August własnoręcznie odsunął je daleko od siebie. Panowie polscy niezadowoleni z takiej etykiety zaprotestowali. Odzyskali humory, kiedy nazajutrz „król siedział sam pośrodku stołu, a kurfyrst na boku".

Podczas łowów, które trwały cztery dni, wytępiono wszystkie żubry i jelenie i inne okazy zwierzyny, pędzonej pod strzał dostojników, usadowionych wśród konarów bardzo grubej sosny. Nie tylko dziesiątki naganiaczy padło ofiarą. (Ludność miasteczka za poniesione straty wynagrodzono... zwolnieniem od wszelkich podatków na przeciąg kilku lat.)

Ofiarą tych łowów stała się — Rzeczpospolita Polska. Na zamku piskim zapadła uchwała przeobrażenia księstwa pruskiego w królestwo. W maleńkim Piszu zrodzony potworek germański, przeobraził się w bestię, która spowodowała rozbiór Polski.

Nieszczęśliwy król, Piast, Stanisław Leszczyński, dwukrotnie znalazł gościnę na zamku Piskim: w 1704 po przegranej przez Karola XII szwedzkiego bitwie pod Połtawą oraz w 1724 r., kiedy uszedł z życiem z oblęganego Gdańska — zaopiekował się nim sławny w Węgorzowie pruski gen. Katt i zawiózł go do Królewca.

Siły wyższe nie oszczędzały miasteczka i puszczy Piskiej: w 1709 z Gdańska zawleczona morowa zaraza spowodowała, że „jedynie czternastu obywateli zostało w Piszu przy życiu, a rynek wysoką trawą zarósł". W trzydzieści lat później z powodu niezwykłych mrozów wymarzły wszystkie olchy, brzozy i leszczyny, a spośród zwierząt: sarny, zające i kuropatwy, jak to skrzętnie zanotował Krzysztof Pisański, historyk miejscowy w XVIII wieku.

Kiedy w 1800 r. w Puszczy, w miejscowości Wądołek założono hutę żelazną, kosztem 200.000 talarów podniósł się dobrobyt puszczaków: zaczęli się trudnić wydobywaniem i dowożeniem rudy darniowej oraz drzewa. Wyrabiano piecyki, żelazne płyty, garnki, ciężarki do wag, które znajdowały chętnych nabywców. Niestety, około 1878 r. huta upadła.

Istnieje w Piszu miejsce zaciszne — dawny cmentarz wokół świętnicy. Tam w dawnych zabudowaniach szkoły, nad którą widniał napis: „Officina Spiritus Sancti", w mieszkaniu rektora Marcina Gizewiusza, żona tegoż Jakobina Turek, córka rektora szkoły w Ełku, powiła 21 maja 1810 r. dziecię płci męskiej, które wyrosło na znakomitego bojownika o polskość Mazur. Powiat i miasteczko nie były jeszcze zgermanizowane za czasów dzieciństwa Gustawa Gizewiusza, świadczą o tym cyfry. W roku 1825 powiat liczył 93 proc. Polaków. Według statystyki podanej przez samego Gustawa w r. 1834 na 29.012 Polaków mieszkało 924 Niemców.

Mimo terroru germanizatorów, żywiołu po polsku mówiącego w ziemię wdeptać nie zdołano. W pierwszej połowie XIX wieku ruchliwy drukarz Jan Gąsiorowski wydaje czasopismo „Kurek Mazurski", kalendarze i inne w języku polskim.

Zamek przeszedł w ręce prywatne, rozpadł się, trudno go odróżnić od nowych otaczających go ruin. Przed wojną istniały podziemia, dziś krąży jeszcze wśród ludności wieść o ganku podziemnym, prowadzącym pod rzeką Pisą. Pisz w czasach swego „rozkwitu", odbudowany po pierwszej wojnie światowej, liczył około 6000 mieszkańców, dumnych z malowniczych will, gładkich jezdni.

Podczas ostatniej wojny, wzorując się na przyjacielu Führerze, który sobie kwaterę główną czyli schron o metrowej grubości murach żelbetonowych pod Kętrzynem zbudował, Goering „podpalacz świata" założył sobie kryjówkę w Puszczy Piskiej.

Dziś Pisz powoli dźwiga się z upadku dla szczęśliwszego niż kiedykolwiek jutra.

EMILIA SUKERTOWA BIEDRAWINA

wśród CZASOPISM

„Przegląd Czechosłowacki" i „Aufbau"

Dawno już odczuwamy u nas potrzebę pisma, dającego wyraz pogłębiającej się stale przyjaźni pomiędzy narodami Czechosłowacji i narodem polskim. Zdawało nam się, że wydawcą tego rodzaju pisma winno stać się Two Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. Tymczasem pierwsze tego rodzaju pismo przyszło do nas z Czechosłowacji. Jest to *Przegląd Czechosłowacki*, tygodnik, który ukazuje się już od października 1948 roku, ale którego pierwszy numer wpadł mi w ręce zupełnie przypadkiem dopiero teraz Jeśli pismo to dotychczas wychodzi i jeśli wychodzi w tej formie, jaką ma ów numer pierwszy sprzed niemal roku, to trzeba powiedzieć, że nie jesteśmy nim zachwyceni. Wyobrażaliśmy je sobie obszerniejszym i bogatszym. Są to cztery strony bieżących informacji politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Treść w zasadzie interesująca i dobrze ujęta, ale w dużej mierze dublująca wiadomości, które przynosi nasza prasa codzienna. Dodawszy do tego znów błędy, wynikające z dosłowności tłumaczeń, musimy powiedzieć, że sprawa pisma polsko-czeskiego jest sprawą otwartą.

Mamy jedną dziedzinę wymiany kulturalnej polsko-czechosłowackiej gdzie stosunki są niezwykle ożywione. Jest nią radio. Czy w związku z tym nie byłoby pożądane, by Polskie Radio zaangażowało do swoich audycji wymiennych speakera czeskiego, a radio czechosłowackie speakera polskiego? Bo dotychczas zapowiedzi po jednej i drugiej stronie pozostawiają przeważnie dużo do życzenia.

Z tej samej beczki pytanie trzecie: czy Film Polski nie powinien skontrolować swego tłumacza z czeskiego, p. Tadeusza Pigłowskiego, który tłumaczy czeskiego „starostę" na starostę, „pasekę" na pasiekę, „blazna" na błazna itd.?

*

Niemiecki miesięcznik, poświęcony sprawom kultury *Aufbau*, wydawany przez Kulturbund zur demokratischen Erneuerung Deutschlands, swój siódmy zeszyt poświęcił Czechosłowacji. Zeszyt ma przeważnie literacki charakter i prócz krótkich omówień krytycznych przynosi przekłady Vanczury, Drdy, Pujmanowej, zmarłego niedawno Jilemnickiego, Wolkera, St. K. Neumanna, Nezvala i Hrubina. Całość jest starannie opracowana, teksty dobrze dobrane, a materiał ilustracyjny interesujący. W części publicystycznej znajdujemy kilka ciekawych wywiadów Stefana Hermlina „Tchechische Gesichter, slowakische Gesichter". Z tego artykułu jedną z ciekawszych jest rozmowa z ks. Plojharem, ministrem zdrowia, osobistością w Czechosłowacji bardzo popularną, bo przed rokiem zamieszaną w konflikt z władzami kościelnymi z powodu wejścia „do rządu komunistów". Ks. Plojhar nie ugiął się, a Harmlinowi powiedział, m. in.: „Religia i Kościół korzystają u nas z całkowitej swobody. Ale Kościół, względnie niektórzy z jego przedstawicieli, nie mają prawa pracować w kierunku przywrócenia prywatnych wielkich posiadłości ziemskich i trustów. Tego rodzaju działalność nie ma nic wspólnego z naszą religią i śmieszni są ci, którzy twierdzą, że zakaz tego rodzaju działalności stanowi zamach na religię". A na zakończenie: „Jestem katolikiem. W rządzie reprezentuję partię katolicką. Ale nikt nie dokaże tego, bym mógł zapomnieć nauki, którą wyniosłem z Buchenwaldu. W lutym 1948 r. nie musiałem się zastanawiać, by uświadomić sobie, gdzie są moi bracia".

BOR.

Fraszki

LITERACI I REALIZM

Jeden tylko realizm dotychczas
ma wśród literatów wyznawców.
Czy ten socjalistyczny, pytacie?
Nie. Ten w listach do wydawców.

NAGROBEK KARIEROWICZA

Przez całe życie walczył. Do końca nieugięty
walcząc zeszedł do grobu.
Nie znał co to jest wytchnienie. Cel miał jasno wytknięty:
ciepłe miejsce u żłobu.

JERZY JESIONOWSKI

W najbliższych numerach „Odry" ukażą się m. in. artykuły i prace:

Władysława Błachuta
Franciszka Germana
Jarosława Rogali
Stanisława Telegi
Tadeusza Zelenaya
Wojciecha Żukrowskiego

Kluby literackie na Śląsku

Działalność Klubów Literackich na Śląsku rozwinęła się do tego stopnia, że należałoby ją szerzej omówić. W roku 1945 powstał Klub Literacki w Katowicach, gromadząc wokół siebie garstkę miejscowej inteligencji. W r. 1947 powstał drugi tego rodzaju Klub w Sosnowcu i w przeciwieństwie do Klubu katowickiego od razu zyskał dużą popularność. W roku 1948 powstał jeszcze jeden Klub w Zabrzu, którego początkowa działalność wyglądała nieco odmiennie od obu pozostałych klubów. Stworzył się tam mianowicie pewnego rodzaju salon literacki, bardzo ekskluzywny, dla wybranych, których było razem kilkunastu. W tymże samym roku powstał Klub w Opolu, który mimo szerokich planów i dużego rozmachu często przerywał swoją działalność, a to z powodu tarć wewnętrznych w łonie jego zarządu. Wreszcie w bieżącym roku powstały kluby w Bytomiu i Rybniku, a w trakcie organizacji są kluby w Bielsku i Dąbrowie Górniczej. W dalszej perspektywie zamierza Związek Literatów utworzyć kluby literackie we wszystkich miastach Śląska i Zagłębia. Cel istnienia klubów, jak się powiedziało na wstępie, był ściśle ograniczony, życie jednak i praktyka wykazały, że zadania Klubów Literackich są o wiele szersze, a ważność ich w dobie ofensywy kulturalnej bardzo wzrosła. Kluby Literackie musiały w niejednym wypadku wyjść poza swoje ograniczone kółka, poza zamknięte salony i brać udział w szerokich imprezach świetlicowych akademiach fabrycznych i szkolnych. Na podstawie tych obserwacji możnaby podsumować braki dotychczasowe Klubów Literackich, a potem przejść do osiągnięć. Przede wszystkim, co się narzucało w oczy w tych brakach? Oto mała ilość członków klubów. Poza jednym klubem w Bytomiu, który ma ich około 200, inne kluby posiadają ich po kilkunastu, a najczęściej kilkudziesięciu. Pominąwszy to, że taki stan rzeczy jest niezdrowy i stwarza atmosferę „kółek wybranych" — przeczy to wszelkim zasadom stowarzyszeniowym tak nieodzownym do budowy socjalizmu w naszym kraju. Kluby literackie nie potrafiły nie tylko zwerbować członków czynnych, ale nie przyciągnęły do siebie inteligencji pracującej, jak to było w zamiarze Związku Literatów. Na Śląsku i w Zagłębiu żyje ogromna ilość inteligentów - techników, którzy nie zajmują się sprawami kultury.

Drugim poważnym brakiem jest atmosfera klubów. W czym się ona przejawia? Przede wszystkim w tendencji do elitarności, do tworzenia zamkniętych salonów dla bardzo wybranej publiczności.

Jeżeli chodzi o osiągnięcia klubów, to są one duże i tu praktyka pokazała, jak są potrzebne dla rozwoju kultury na Śląsku. Na czoło wszystkich klubów wybił się tutaj Klub Literacki w Sosnowcu, który ma poza sobą 80 wieczorów. Tematami, poruszanymi na tych wieczorach poza literaturą, były zagadnienia teatru, muzyki, plastyki, filmu a nawet biologii, fizyki i nauki marksizmu i leninizmu. Przez Klub sosnowiecki przewinęli się najwybitniejsi ludzie pióra, znawcy muzyki, teatru i sztuk plastycznych. Gościli tu pisarze: Jerzy Andrzejewski, Al. Baumgardten, Jan Dobraczyński, Grabski, Hordyński, Iłłakowiczówna, Morcinek, Pasternak, Szewczyk, Ważyk, Wyka, Żukrowski i wielu innych. Wtorki literackie w Sosnowcu przyjęły się i mają dziś ustaloną sławę. Sala zawsze przepełniona przeważnie przez młodzież szkolną i dużą ilość miejscowej inteligencji. W ostatnim czasie Klub nawiązał kontakt z młodzieżą szkoły górniczej i ze świetlicami robotniczymi.

Na drugim miejscu mamy Klub Literacki w Katowicach, który ma poza sobą jeszcze większą ilość wieczorów, lecz — jak zaznaczyłem — nie przyjął się w Katowicach, a na jego wieczory przychodzi garstka ludzi i największa ilość jak np. na wieczorach autorskich Andrzejewskiego, Kisielewskiego, czy Dobraczyńskiego nie przekroczyła 300 osób. Innymi osiągnięciami Klubu są konkursy młodych talentów, oraz zespół rapsodyczny. Konkursy miały na celu wyłowienie młodych talentów literackich. Klub ma za sobą dwa takie konkursy. W robu ubiegłym wyłonił 20-letniego maturzystę z Piekar Śląskich Stanisława Piastowicza, a w tym roku Ewę Różniecką z Zabrza, oba talenty poetyckie. Grupa młodych recytatorów amatorów pod kierunkiem Bolesława Malaka stworzyła całkiem niezły zespół rapsodyczny, który opracował i wystąpił z takimi wieczorami poezji, jak: „Anhelli" Słowackiego, „Śląsk śpiewa" (poezja współczesnych poetów śląskich), „Żywa kolumna poezji radzieckiej", „Z posad bryło świata" (montaż poezji Mickiewicza), „Droga do socjalizmu" (montaż poezji rewolucyjnej) i „Mickiewicz i Puszkin". Zespół ten przeszedł obecnie pod opiekę Domu Kultury Zw. Zaw. w Katowicach i występuje w świetlicach robotniczych i chłopskich na Śląsku, mając poza sobą ponad 90 występów.

Klub Literacki w Zabrzu miał, jak już powiedziałem, okres ekskluzywności, który został jakoś przełamany i ostatnio nawiązał kontakt z Domem Górnika, a więc od razu wszedł w świat pracy. Na kilku ostatnich wieczorach publiczność górnicza liczyła około 1000 osób na sali.

Losy Klubu Literackiego w Opolu nie przedstawiałyby się świetnie, gdyby nie czynne zajęcie się nim dyrektora tamtejszego teatru Byrskiego, który zorganizował kilka wieczorów typu recytacyjno-teatralnego z udziałem tamtejszych aktorów. Środy literackie, których było 10, miały takie tytuły: „Warszawa" (wieczór poezji na temat Warszawy), „Wśród autorów śląskich", „Wieczór twórczości radzieckiej", „Wieczór Mickiewiczowski", „Wieczór kolend", „Wśród autorów opolskich" i „Wspominamy powstania śląskie".

Klub Literacki w Bytomiu rozwinął żywą działalność, dając kilka wieczorów autorskich i dyskusyjnych otwartych. Na „środach literackich" zamkniętych tylko dla członków klubu zorganizował dyskusję na temat prasy literackiej, najnowszych sztuk teatralnych, książek i filmu, utworzył poradnię językową i poradnię dobrego czytania.

Wreszcie najmłodszy z klubów w Rybniku rozpoczyna dopiero swoją działalność, na temat której nic jeszcze powiedzieć nie można.

Jakie są wytyczne na przyszłość Związek Literatów, jako założyciel, inicjator i opiekun Klubów Literackich na Śląsku, ma nielada zadanie do wykonania. Po pierwsze: musi wymagać od zarządów klubów z rozpoczęciem nowego sezonu przedłożenia planów pracy, rocznych ramowych i kwartalnych konkretnych. Uniknie się w ten sposób dotychczasowej dość chaotycznej pracy klubów od przypadku do przypadku i wyprostuje linię klubów, mających oddawać publiczności pełny i sprawiedliwy obraz dzisiejszego stanu polskiej kultury. Po drugie: istnieje już dziś życiowa potrzeba skierowania działalności klubów w kierunku oderwania ich z zamknięcia w salonach literackich i skierowania na szeroki nurt świata pracy, a w dalszej perspektywie: zakładania Klubów Literackich w zakładach pracy, nad siecią których dzisiejsze kluby sprawiałyby opiekę. Po trzecie: tworzenie coraz nowych klubów w miastach Śląska, grupujących miejscową inteligencję.

JAN BRZOZA

Kronika teatralna

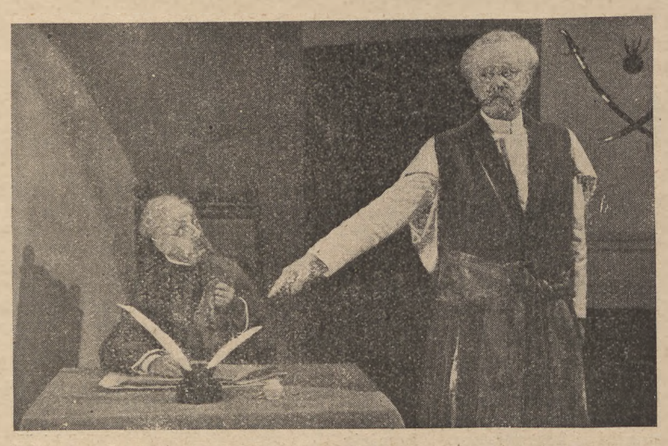

„Zemsta" Aleksandra Fredry w Teatrze Ziemi Opolskiej, z gościnnym występem Jerzego Leszczyńskiego. Na zdjęciu: A. Zycki (Dyndalski) i J. Leszczyński (Cześnik Raptusiewicz)

„Okno w lesie" L. Rachmanowa i E. Ryssa w teatrze jeleniogórskim. Inscenizacja i reżyseria Ireny Ładosiówny. Na zdjęciu: Jerzy Sobieraj i Maria Piasecka

„Mazepa" Juliusza Słowackiego w Państwowym Teatrze Dolnośląskim we Wrocławiu. Na zdjęciu: M. Serwiński (Wojewoda), Wł. Nawrocka (Amelia), A. Chronicki (Zbigniew)

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73.

R 0212112